CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXV

ŚWIAT

- NR - - 8 -

WARSZAWA, DNIA 22-go LUTEGO 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO



Wiadomo, że bardziej wrzaskliwym od czajki jest człowiek, posiadający strzelbę; uda się takiemu zatłamsić nieszczęsnego zajączka, albo trafić w ciemności przypadkiem w głuszca, zaraz o tem pisze książkę, wskutek czego roi się w księgarniach od myśliwskich pamiętników; ba! są nawet ludzie, którzy temu wszystkiemu dają wiarę w prostocie ducha.

Częsty ten obłęd, znany w psychjatrji pod nazwą „eismontismus accutus", nieszkodliwy z pozoru dla ludzi, a tem mniej dla zwierząt, zasłania sobą jednakże czyny istotnie bohaterskie, lecz skromnie ukrywające się we własnem jedynie zadowoleniu, rzeczy wielkie, piękne i wzniosłe, dlatego tylko mało znane, że nie oblane posoką jakiegoś mizernego zwierzaka. Myślę o narciarstwie, o najszlachetniejszym ze sportów, trudnym, niebezpiecznym, wspaniałym i dumnym, który jednak nie ma dotąd swojego piewcy. Zawistną kalumnją wydaje mi się argument, że inaczej być nie może, bo znakomici narciarze często mają wiele wątpliwości w dziedzinie zasad ortograficznych, żywą i zbyt indywidualną okazując w tych kwestjach bujność i awanturniczość pomysłów, co im przeszkadza cokolwiek w osiągnięciu laurów pisarskich. Rzecz oczywista, że prawdziwy narciarz potrafi najlepiej pisać poematy na dziewiczym śniegu, gardząc, i słusznie, krępującemi ruchliwość nóg i myśli nakazami Akademji Umiejętności; niech jednak cała Akademja potrafi tak zjechać zakosami po lodowej skorupie, jak jaki dzielny Motyka! Wtedy byśmy zobaczyli, co trudniejsze? Rozumiem przeto żywiołowy wstręt narciarza do wszelkiego pisania; człowiek, żyjący wśród przeczystego śniegu, nie lubi plamić się atramentem. Literatura jednakże dotkliwie na tem cierpi, nie mając poematu, co się skrzy brylantami śniegu i w którym rymy tęczą się, jak lodowe sople w słońcu. Z nieopisaną tedy radością śledzę karjerę narciarską Kazimierza Wierzyńskiego, który swój laur olimpijski usiłuje zasadzić na zakopiańskim śniegu. Może z tej szczepionki wyrośnie jakieś poetyckie cudo. Myślę jednak, że stanie się to nieprędko, metoda bowiem jazdy mego miłego przyjaciela niezbyt mi się podoba: Wierzyński jeździ w postawie zbyt wyprostowanej, wskutek czego nadto często hamuje dolną szczęką, co nietylko przedstawia niejakie fizyczne niebezpieczeństwo

dla garnituru zębów, lecz mąci też cokolwiek bohaterski rysunek narciarza w pysznym biegu; znaczenie rytmu wiersza zębami nie jest godne polecenia ze względu na szczupłą ich i zbyt ograniczoną ilość. Spodziewać się jednak należy szybkich postępów i wspaniałego tomu poezji p. t. „Wrony na śniegu".

Tymczasem postanowiłem, dając dobry przykład nienawidzącym pióra narciarzom, przyczynić się nieco do zapoczątkowania literatury na te śnieżyste tematy i jako jeden z wybitniejszych fachowców tego wspaniałego sportu, zacząłem pisać obszerny pamiętnik narciarski, obejmujący już dziś około sześciuset stronic. Szczyptą śniegu z tego olbrzymiego pola są uwagi niniejsze, pisane stylem telegraficznym.

Nigdy nie czynię niczego lekkomyślnie, przeto i narciarzem postanowiłem zostać w wieku mocno dojrzałym; w ten sposób zyskałem czas i znalazłem wiele sposobności do obserwacji pilnej i systematycznej. Mniejwięcej przez lat dziesięć patrzyłem, jak to czynią inni, zbyt porywczy i rwący się do niebezpieczeństw; zyskałem na tem wiele, bo ja jeszcze nie zacząłem, a wielu z moich przyjaciół zdążyło już połomić nogi i ręce, nadwerężyć żebra i przerzedzić sobie płot zębów, które w tym wieku odrastają z trudnością i za ciężkie pieniądze.

Może byłbym obserwował dłużej jeszcze, gdyby nie to, że nagminność epidemiczna tego sportu spowodowała moją samotność. Kiedy bowiem narciarz był jeszcze oglądanym ciekawie szaleńcem, a narty dziwowiskiem, łatwo było o kompanję w boskiem Zakopanem; od chwili jednak, kiedy warjat płodził warjata, a płeć, dość łatwa dotąd do rozpoznania, stała się trudną do odgadnięcia, bo cały naród zimowy przyoblekł spodnie, kiedy wnuk z dziadkiem, a wnuczka z własną babką, a obie w równym wieku, kiedy wszyscy dosłownie zaczęli gonić wiatr po śniegu, uczyniło mi się nijako. Zostałem sam, sam, jak narta, do której niema pary. Dzisiaj, kiedy mam już poza sobą setki przebytych w śmigłym pędzie kilometrów, kiedy wyjście na Halę Gąsienicową jest dla mnie śmiesznym drobiazgiem, a zjazd z niej dziecinną igraszką, mówię o tem wszystkiem z pobłażliwym uśmiechem. Rechocząc wesoło, rozmawiałem o tem niedawno z naszym najsłynniejszym narciarzem, Bronkiem Czechem, kiedy mu udzielałem pożytecznych wskazówek przed biegiem 50-kilometrowym, — (o, jaka szkoda, że z nich niezupełnie ściśle skorzystał!) — wtedy jednak znalazłem się w dość fałszywej pozycji. Wszyscy na śniegu, na halach, na stokach, a ja jeden u Karpowicza z miłym Włochem, niejakim Cinzano! Wychodzę na Lipki i widzę małą dziewczynkę, zjeżdżającą „szusem", jak wiatr, różową, jak jutrzenka, śmiałą, jak kozica, śliczną, jak pocałunek.



— Ile masz lat, maleńka? — pytam z ukrywaną zawiścią.

— Siedem!—odpowiada mi Iris na śniegu.

— A jak dawno jeździsz?

— Pięć lat! — powiada mi z dumą ta śliczna cholera.

Wobec przeczystości śniegu nikt nie kłamie, nawet kobieta, tem mniej dziecko. Dałem w pysk własnej rozżalonej duszy.

— Słyszałeś byku z dolin? — rzekłem sobie, a głos mój przypominał chrzęst śniegu; — ma lat siedem, a jeździ pięć! A ty co robisz? Wędzisz się w dymie knajpy, flanujesz po asfalcie, skaczesz łbem na dół w czarną topiel gazety; jedną łopatkę masz już wyższą od drugiej od siedzenia przy opasłem biurku, boisz się przeciągu, mrozu i wiatru, pijasz Haberbuscha zamiast pić słońce, łapserdaku obrzydły!



— Boję się! — zapłakała we mnie dusza.

— A butelki to się nie boisz?

— Och, nie!

— Od dzisiaj będziesz się bała, kocmołuchu. Idziemy!

— Dokąd?

— Po narty!

Niosłem ją, omdlałą, na ramieniu.

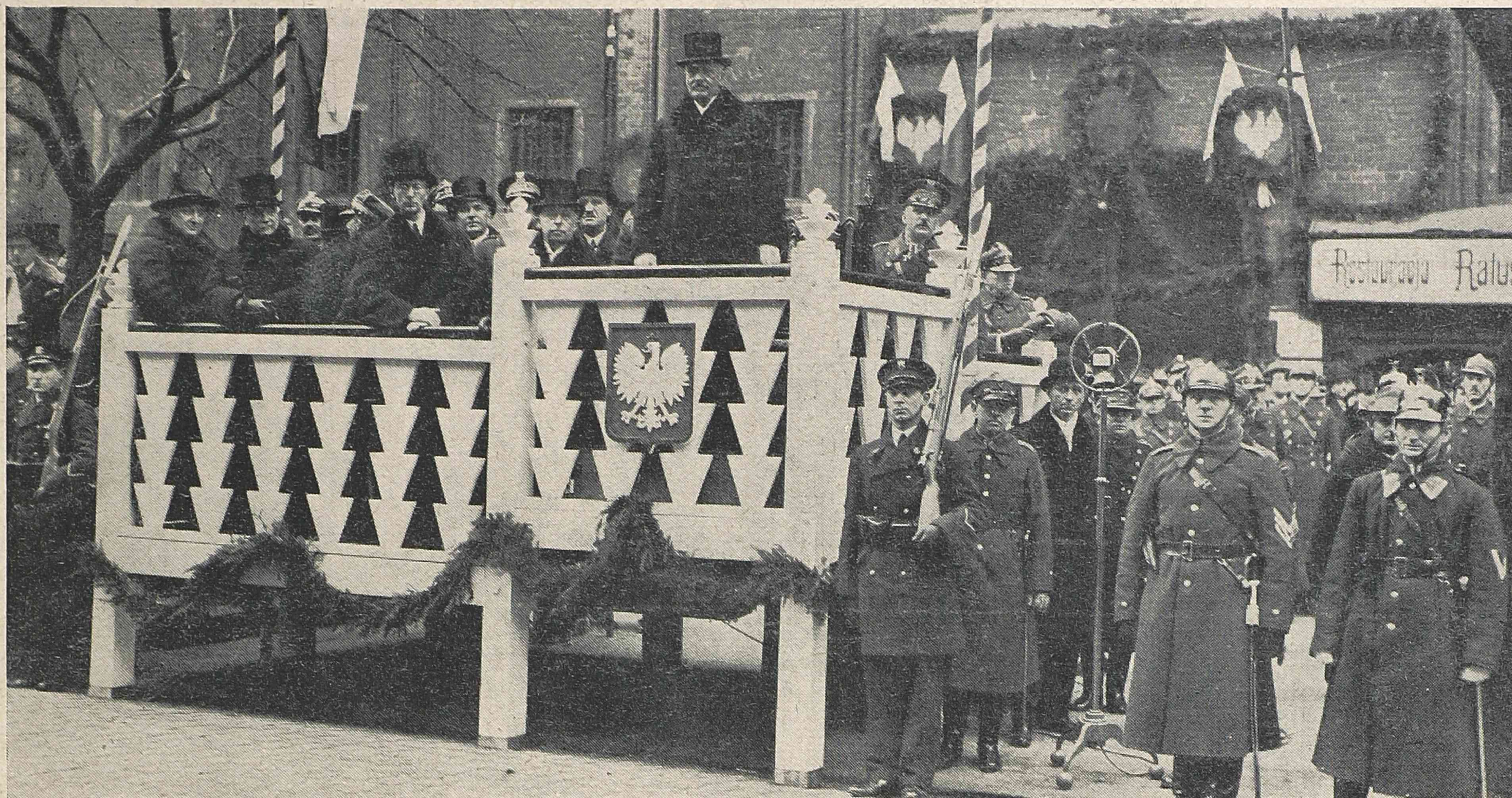
Doprawdy, śmiech mnie bierze, kiedy sobie o tem wszystkiem wspomnę. Dzisiaj rano, w pożodze słońca, zjeżdżałem przez piekielne upłazy, przez stok najeżony głazami, jak cmentarz. Narciarz mało wprawny nie ujechałby dziesięciu metrów i roztłukłby sobie łeb, jak skorupę jajka. I na mnie przyszedł jeden króciutki moment, że się zawahałem, gdyż na jednym z głazów ujrzałem drwiąco uśmiechniętą, siedzącą okrakiem śmierć.

— Nie bój się! — wrzasnęła we mnie dusza; — zakosem w lewo!

Śmignąłem, jak kozica, aż się wiatr poza mną wykopyrtnął. Byłem blady i na czole miałem pot zimny. A któż to mi dodał odwagi? Ta sama mizeracka dusza moja, już dziś upojona wiatrem i słońcem, oszalała.

Nie mówię tego, aby się własną tuczyć chwałą, jak by to czynił autor myśliwskiego pamiętnika, ani też nie łżę, jak by on to z nawyku uczynił. Śmieszne są to dla mnie drobiazgi; dlatego o nich wspominam, aby zachęcić niezgułów i niemrawych ludzi i aby na żywym zademonstrować przykładzie, że jednak pewnego rodzaju bohaterstwo tkwi w zarodku w każdem indywiduum. To, co mi się zdawało straszliwem, jest dziś dla mnie zabawką. Kiedy Ossendowski pierwszego ujrzał zająca, to też w nim serce skakało ze wzruszonej trwogi, jako ten właśnie zając. A dziś? Na lwa srogiego bez obawy siędzie, a do tygrysa strzela od ręki, nie mierząc. Kiedy Krzywoszewski opowiada Ejsmondowi, jak to loftkami zabił dzika, a rysia z drugiej lufy, to tak, jak by zwyczajny człowiek zjadł ciastko. Blade niebezpieczeństwo i groza podnoszą włosy na głowie tylko czytelnikowi, lecz dla tego, który codziennie niemal patrzy śmierci w oczy, tygrys niczem nie różni się od kuropatwy.

Kiedy poznałem wszystkie tajemnice boskiego, śniegiem iskrzącego się sportu, wydaje mi się wszystko łatwem z tej prostej przyczyny, że od pierwszej chwili



Pan Prezydent Rzeczypospolitej, prof. Ignacy Mościcki, w otoczeniu Ministrów i Korpusu Dyplomatycznego przyjmuje w Toruniu defiladę Fot. Photo - Plat

chwyciłem trwogę za gardło, pyskiem zwaliłem ją o ziemię i kazałem jej gryźć śnieg. Nie bać się! — oto przykazanie narciarza. Tak mnie uczył mój mistrz narciarski, malarz najmilszy, Tadeusz Koniewicz; wyprowadzał drżącą galaretę na wysoką górę i kazał jej zjeżdżać na złamanie karku. Podczas krótkiej chwili oszalałego pędu, kiedy śmierć za tobą bieży, wyjąc głosem wiatru, w błyskawicowym skrócie widzisz swoje życie, wzloty i upadki, blaski i nędze, błędy i grzechy; może to dlatego różni ludzie nie chcą za żadne skarby zjeżdżać tak po raz drugi, aby nie widzieć tej djabelskiej syntezy paskudztwa. Tylko ludzie niezbyt obciążeni na sumieniu mogą być dobrymi narciarzami. Mało jest na ten przykład adwokatów, co się rwą do nart, natomiast istoty tak bezgrzeszne, jak pisarze, lub malarze, są narciarskimi znakomitościami. Panny niewinne z tych samych powodów jeżdżą znamienicie i dlatego my posiadamy narciarskie mistrzynie. Nie należy jednak przejmować się zbytnio tym poglądem i unikać nart, udaje się bowiem, i to zbyt często, zachować odwagę duszy bardzo nawet grzesznej; narciarskie spodnie są przestronne i wiele ukryją.

Zima tegoroczna zmieniła Zakopane w wielką szlifiernię djamentów i nartom przypięła skrzydła. Dawno nie widziałem takich śnieżystych cudów i dawno tak obłąkanej, wspaniałej nie uprawiałem jazdy; codziennie trzydzieści do czterdziestu kilometrów włóczęgi, a w przerwach ze dwadzieścia skoków z Krokwi mniejwięcej 50-metrowych, rzadko z upadkiem. Jest to miłe i zabawne, lecz to nie żadne bohaterstwo: odrobinka wprawy i śmiałe serce. Na stokach Pirenejów, gwałtownych i urwistych, uległem parokrotnie nieznacznym, lecz bolesnym wypadkom, zakopiańskie jednak tereny są łagodne i idealne.

Mam nadzieję, że w czasie przyszłej zimy zaroją się one najdostojniejszem gronem narciarskiem: literaturą. Och, zobaczyć raz Perzyńskiego, zjeżdżającego z Gubałówki i umrzeć! A przecie to takie łatwe (mówię o nartach, nie o umieraniu...). Patrzcie na mnie, przyjaciele moi: mam zaledwie czterdzieści parę lat i już jestem członkiem narciarskiej sekcji „Wisły". Jest to tytuł, który piszę pod nazwiskiem na biletach wizytowych. Mężczyźni patrzą na mnie z zawiścią, a kobiety z oczarowanym zachwytem. Żal mi Bronka Czecha, ale od niedawna zaczął mi się marzyć tytuł narciarskiego mistrza Polski... Trudno, Broneczku, — w sporcie, tak jak w bridgu, nie znam ani ojca, ani brata...

P. S. Uprzedzam, że wszelkie pogłoski o tem, jakgdybym się fotografował u Schabenbecka przed płachtą z namalowanemi górami i jakoby psy wyły nad moją sztuką narciarską, są brudnym wymysłem, a oszczerców będę ścigał sądownie.

Kornel Makuszyński

ZMIANA RZĄDU WE FRANCJI

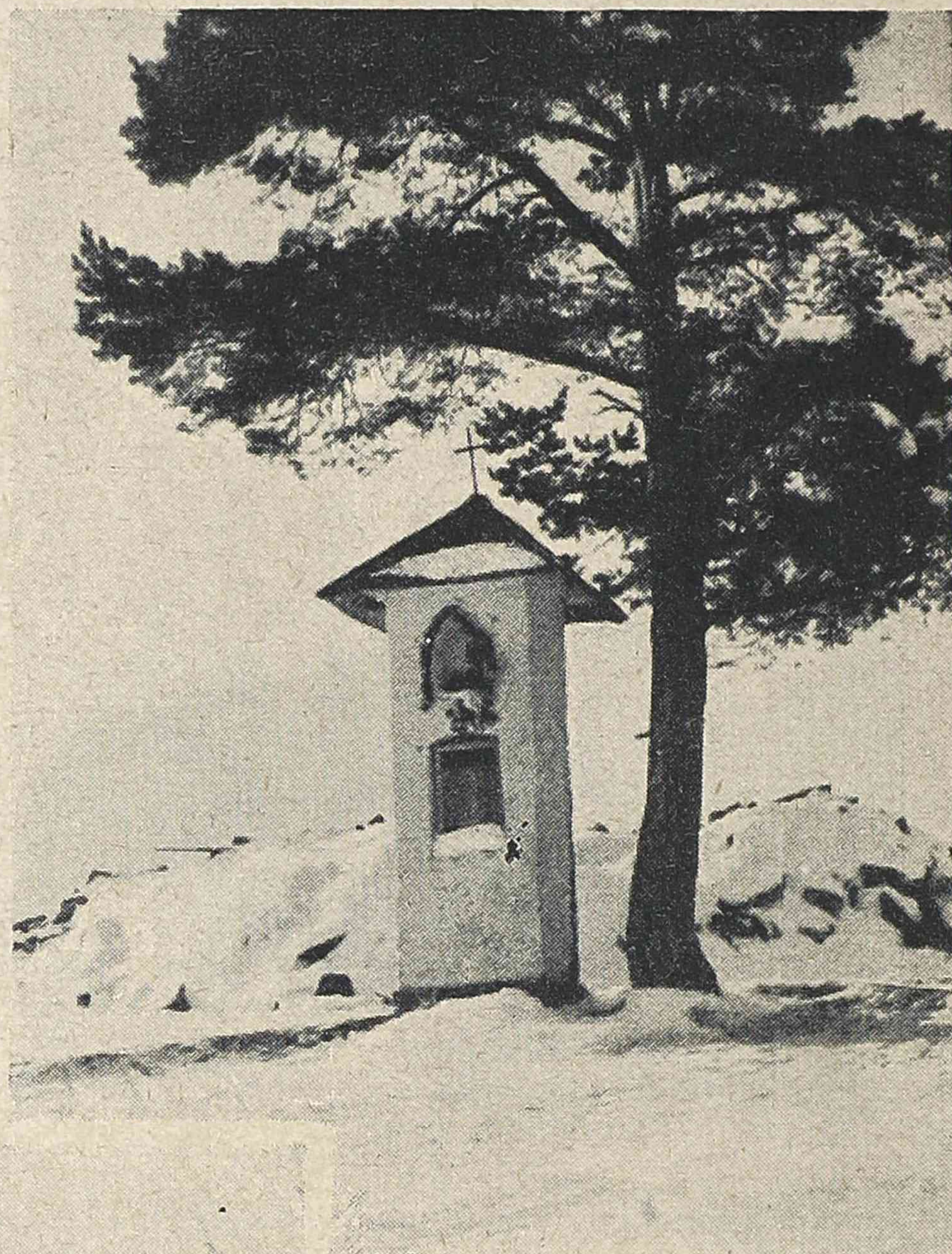


G. TARDIEU, PREZES MINISTRÓW FRANCUSKICH, PODAŁ SIĘ DO DYMISJI WSKUTEK OPOZYCJI PARLAMENTU CO DO SPRAW BUDŻETOWO-PODATKOWYCH

Zima w Tatrach



Droga z Poronina do Bukowiny pod Zakopanem



Kapliczka przydrożna



„Pod słońce" Bukowina

Droga z Zakopanego do Morskiego Oka





Pranie w Białce pod Bukowiną

Fot. amator Władysław Wunderlich

KONKURSY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM

Fot. T. i S. Zwoliński — Zakopane



Wyjazd ze schroniska P. T. T. na Hali Gąsienicowej



Znany narciarz B. Czech startuje



Zawodnicy na starcie, Nr. 19, zwycięzca biegu Suleja



Stanisław Marusarz



Jeden z zawodników na tle Liljowego

NA WIDNOKRĘGU

W parlamencie niemieckim głośno.

Mówi się o umowach porozumienia finansowego z Polską.

Przemawia min. spraw zagranicznych Curtius, przemawiają członkowie centrum, demokratów, radykałów, przemawia socjalista Breitscheid. Kiedy się słyszy lub czyta ich przemówienia, zatraca się poczucie niemieckich różnic partyjnych. Każdy mówca znajduje pod adresem Polski akcenty rewizjonistyczne. Pan Breitscheid — socjalista i długoletni kandydat na ministra spraw zagranicznych—dubluje z powodzeniem każdego nacjonalistę.

„Nie chcemy się odwoływać do przemocy — woła p. Breitscheid — ale nie możemy pogodzić się z tem, co stało się rozdarciem żywego organizmu naszego państwa. Nie widzimy jeszcze dziś chwili, w której „pokojowo" da się tę niesprawiedliwość naprawić — ale musimy tę chwilę przybliżać, ze wszystkich sił w tym kierunku działając.

Socjalista niemiecki więc zapowiada mniej lub więcej wyraźnie wytężoną, systematyczną akcję, aby „rozdarcie" Niemiec usunąć. Co to znaczy w języku mniej niż dyplomatycznym: to znaczy wytworzyć takie warunki, aby polskie Pomorze, aby t. zw. z niemiecka „korytarz" ponownie przyszyć do niemieckiej... całości.

Pan socjalista Breitscheid jest pacyfistą, przemoc potępia, brzydzi się nią, odrzuca nawet myśl o niej, ale pokojowo, pokojowo, dlaczego nie?

Wie on doskonale, bo zna napewno własne niemieckie statystyki, że ludność Pomorza to w 92% polacy, ale to jego „pacyfizmu" nie wzrusza, po krawiecku chce on przyszywać „rozdarcie", bo w jego umyśle niema miejsca na uświadomienie sobie, że to byłoby jednoczesne „oddarcie" przeszło miljona istnień od pnia ich narodu i ziemi ojczystej. Nic nie szkodzi, że to jest w sprzeczności z socjalistycznym dogmatem wiary o idei narodowościowej — nic to — furda — byle bez przemocy, byle pokojowo.

„Pokojowość" rozgrzeszy sumienie jagnięce p. Breitscheida — rezultat ucieszyłby wilczą skórę tego przyszłego, oddawna już kandydującego ministerjalnego aspiranta.

Poseł Breitscheid nie widzi, kiedy by się to mogło stać, zdaje mu się, że to termin odległy jeszcze, temniemniej daje do zrozumienia, że *wytrwała, stała akcja we wskazanym przezeń kierunku winna trwać nieprzerwanie.* Zapowiada więc ją.

Ale widocznie poseł Breitscheid mówi dziwnie cicho, bo tych jego słów nie słyszą niektórzy budżetowi badacze polscy, nie słyszą zapowiedzi wytrwałej akcji przeciw polskiemu Pomorzu — nie słyszą widać tego, bo w tym samym czasie z rąk ministra spraw zagranicznych wyjmują broń. Odbierają mu fundusze, które nie mają nic wspólnego z „przemocą", a tylko mogą i powinny służyć do uświadamiania światu „istoty" pokojowości niemieckich krawców, szykujących metodycznie nici, igły, nożyce, aby pomorską ludność przyszywać nawet z ropiejącemi bliznami do „rozdartej" ale obcej i wrogiej jej niemieckości. Ten przedziwny moment i ta chronologiczna zbieżność dwuch akcji byłaby może zastanawiająca, ale czyż warto o niej myśleć i ją klasyfikować, gdy się widzi i czuje prawdziwego ducha narodu polskiego w dniach dziesięciolecia odzyskania polskiego Morza.

W żywem ciele pomorskiego ludu nie wykraje, nie wyhaftuje, nie przyfastryguje ani pokojowo, ani przemocą nikt, ktoby chciał w imię takich, czy innych, jagnięcych, wilczych czy wężowych ideałów oddzierać cokolwiek, co ongi, od żywego narodu oddarte, wiekami śniło o scaleniu się ze swoją narodową całością.

*

ZGON WYBITNEGO DYPLOMATY



ALEKSANDER P MOORE, POTENTAT PRASOWY AMERYKAŃSKI, WYBITNY DYPLOMATA, MIANOWANY NA STANOWISKO AMBASADORA STANÓW ZJEDNOCZONYCH W POLSCE, ZMARŁ W LOS ANGELES NA ZAPALENIE PŁUC

Król Jagiełło — przewraca się w grobie.

Tak jest, przewraca się, targa ze śmiechu — wydziedziczono go!

Tak jest, skazano go na śmierć, odebrano mu dobra doczesne, i nawet nie zaliczono mu prewencyjnego aresztu grobowego.

Wysoki litewski książę cofnął się o parę wieków wstecz, oblókł togę surowości i potępił księcia litewskiego za to, że się stał królem polskim, że „wynaradawiał" litwinów!

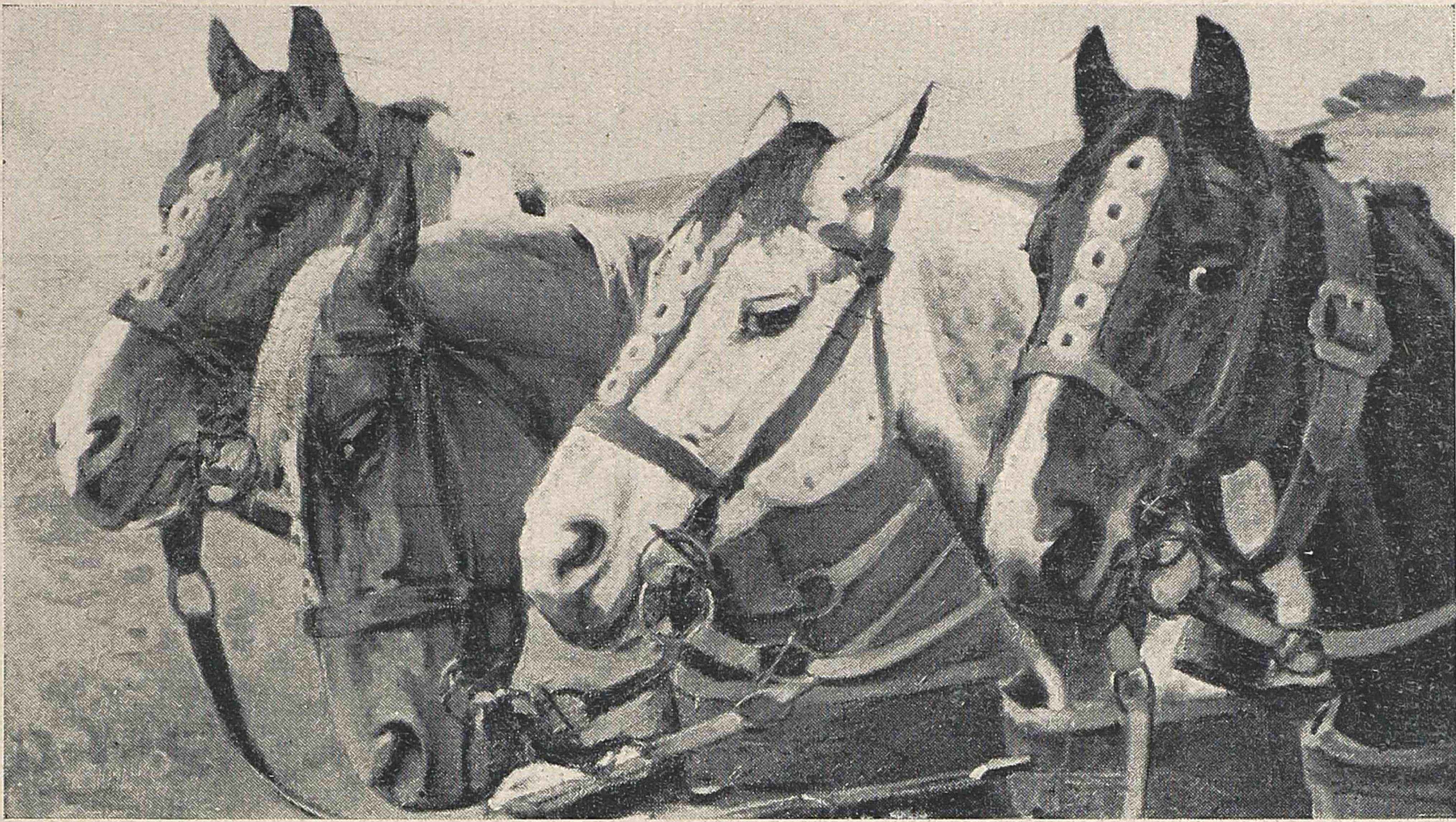
Maluczko, a Kowno wyśle do Ligi Narodów petycję o obronę mniejszości i zażąda komisji szkolnej, która by zbadała rozwój i ucisk szkolnictwa litewskiego za czasów zdrajcy, polonofila Jagiełły. Zdaje się jednak, że inna komisja tam by się raczej przydała, komisja „od czubków", to istotnie sąd i wyrok litewski kusi się o sławę herost — ratową, a cała prześwietna historja prosi się o jakiegoś potężnego Offenbacha lub o djagnozę à la Zagłoba.

Już słyszymy ten lapidarny styl, skierowany do inkwizytorów Jagiełły: „dłoń podnosicie na pamięć tego, co wam dwie łapy od ziemi oderwał, wyprostować się kazał, na dwuch nogach chodzić przyzwyczaił i po miód nie do matecznika na sosny łazić tylko, ale i nauczył korzystać zeń, gdy w małmazję ten wyrób pracowitego owadu przerobiono". Mówiłby napewno pan Zagłoba wiele w Koszedarach o koniuchach baranim włosem porosłych, o końskich podogoniach i o innych jemu zwykłych „przenośniach".

Ale zostawmy w spokoju „grubego szlachcica", styl jego plastyczny, dobitny minął wraz z epoką. Nie chcemy drażnić naszym śmiechem tej części społeczeństwa litewskiego, która nie zatraciła jeszcze resztek objektywizmu i poczucia śmieszności. Koszedarskie wesołki, skazujące na śmierć Władysława Jagiełłę, zasługują na uwiecznienie we wszystkich „simplicissimusach" świata — ale na zanotowanie zasługuje także i jeden motyw ich wyroku. „Polacy jako spadkobiercy Jagiełły"... tak jest, wyraźnie to stwierdzają litewscy sędziowie. Nienawiść zmąciła im oczy, zabiła poczucie śmieszności, ale wydobyła również nieopatrzne wyznanie: Polacy są spadkobiercami Jagiełły nie tylko w prawach do Wilna, ale są spadkobiercami i tej Litwy, co była zwycięską pod Grunwaldem i nie miała wówczas krzywdzącego ją traktatu z niemcami.

Aeg.

Z jubileuszowej wystawy Aleks. Sarnowicza w Warsz. Tow. Zachęty



Bałaguły



Jesienne towarzyszki



Juhas

Ofiara losu



Fot. Jan Ryś

KAZIMIERZ HILDT

Pierwszy Polski Propagandzista Socjalizmu

Prof. Zygmunt Heryng, znany ekonomista i działacz społeczny, dzieli się z czytelnikami naszymi cennemi wspomnieniami z przed lat prawie pięćdziesięciu, gdy budziły się zaledwie świty ruchu socjalnego na ziemiach naszych. Nie wątpimy, iż wspomnienia te obudzą szerokie zainteresowanie.

Kolegowałem z Kazimierzem Hildtem przez lat kilka. Zaprzyjaźniłem się z nim jednak dopiero w 6-ej klasie, gdy całkiem przypadkowo ujawniła się wspólność naszych uczuć i przekonań, a przedewszystkiem ten wspólny rys naszego usposobienia duchowego, że z talentem odmalowane osobistości



KAZIMIERZ HILDT

fikcyjne, a więc bohaterowie powieści i romansów, działały na nas silniej, aniżeli osobistości historyczne lub żywi ludzie, z którymi się bezpośrednio stykaliśmy.

Nie byliśmy pod tym względem wyjątkowi. Niektórzy z krytyków rosyjskich twierdzą, zdaniem mojem słusznie, że nihilizm, ta specyficzna, w owym czasie, forma rosyjskiego socjalizmu, wpływ swój na młodzież rosyjską zawdzięcza właśnie owemu fikcyjnemu Bazarowowi, bohaterowi „Ojców i Dzieci", fakt tem dziwniejszy, że Turgieniew chciał narysować postać ujemną, mającą zniechęcić młodzież rosyjską do socjalizmu, wywołał zaś skutek wręcz odmienny. Bazarow znalazł tysiące naśladowców — nietylko w Rosji, lecz, jak się na sobie przekonałem, również i u nas. Bijąca z tej postaci siła robiła swoje. Kiedy w gimnazjum zadano nam wypracowanie na temat: „Ojcowie i Dzieci", ja i Kazimierz Hildt — późniejszy tak wybitny a tak mało znany działacz socjalistyczny, wypowiedzieliśmy swój podziw dla Bazarowa, ja z pewnemi zastrzeżeniami, Hildt bez żadnych zastrzeżeń. Wspólność poglądów zbliżyła nas do siebie. Rozpoczęła się ożywiona wymiana myśli na tematy społeczne, dyskusje bez końca, toczone zarówno w klasie, jak i po wyjściu z klasy, kiedyśmy się odprowadzali nieraz po parę godzin, aby poruszone zagadnienie wyczerpać do dna. Hildt we wzajemnym naszym stosunku odgrywał rolę propagatora i dostarczał mi, nie wiadomo skąd czerpanej przezeń, literatury socjalistycznej, ja zaś wrażliwego na propagandę adepta.

Socjalizm Hildta z całkiem odmiennych wytrysnął źródeł. To nie był socjalizm wyrosły na podłożu współczucia dla niedoli służby domowej, to nie był socjalizm z „kuchni rodem", jak u mnie, to był rzeczywisty socjalizm robotniczy. Hildt wszystkie godziny wolne od zajęć szkolnych spędzał w warsztacie z robotnikami, zatrudnionymi w fabryce powozów, mieszczącej się w domu jego ojca, i tam się najczęściej spotykaliśmy.

Kazimierz Hildt był, zdaje się, pierwszym polskim propagatorem socjalizmu w dobie popowstaniowej. Już jako gimnazista w 1868 i 1869 r. zajmował się propagandą socjalistyczną w oryginalnej bardzo formie. Chodził on po szynkach i bawarjach i tam wdawał się w pogawędkę z robotnikami, tragarzami, posłańcami i wogóle ze wszystkimi bywalcami tych zakładów i umiejętnie wprowadzał stopniowo rozmowy na tematy socjalne i socjalistyczne. Towarzyszyłem Hildtowi parę razy tylko w tej jego robocie propagandystycznej i to raczej jako widz i niemy słuchacz, aniżeli jako czynny uczestnik. Do agitacji po szynkach zupełnie się wówczas nie nadawałem, Hildt natomiast czuł się w szynku, jak w swoim żywiole. Żył się z robotnikami, wyglądał na robotnika i wśród robotników czuł się lepiej, niż u siebie w domu.

Z propagandystycznych wędrówek Hildta po szynkach nie należy pośpiesznie a całkiem błędnie wnioskować, że był to jakiś demagog lub rewolucjonista o nieokiełznanym temperamencie, który szuka dlań ujścia w jakiejkolwiek, chociażby całkiem bezcelowej, byle tylko natychmiastowej, bezpośredniej działalności. Hildt był usposobienia raczej flegmatycznego, aniżeli rewolucyjnego, więcej może sceptyk, aniżeli działacz.

„Ja wiem" — mówił do mnie — po powrocie z takich wędrówek — „że ta forma propagandy, którą obecnie uprawiam, nie ma wielkiego sensu. Zdaję sobie z tego dokładnie sprawę, że należy przedewszystkiem zorganizować skupienia robotnicze, wszystko jedno, czy będą to związki zawodowe, czy kooperatywy, czy domy ludowe, czy kasy oporu. Ale skoro tych skupień społecznych u nas jeszcze niema,

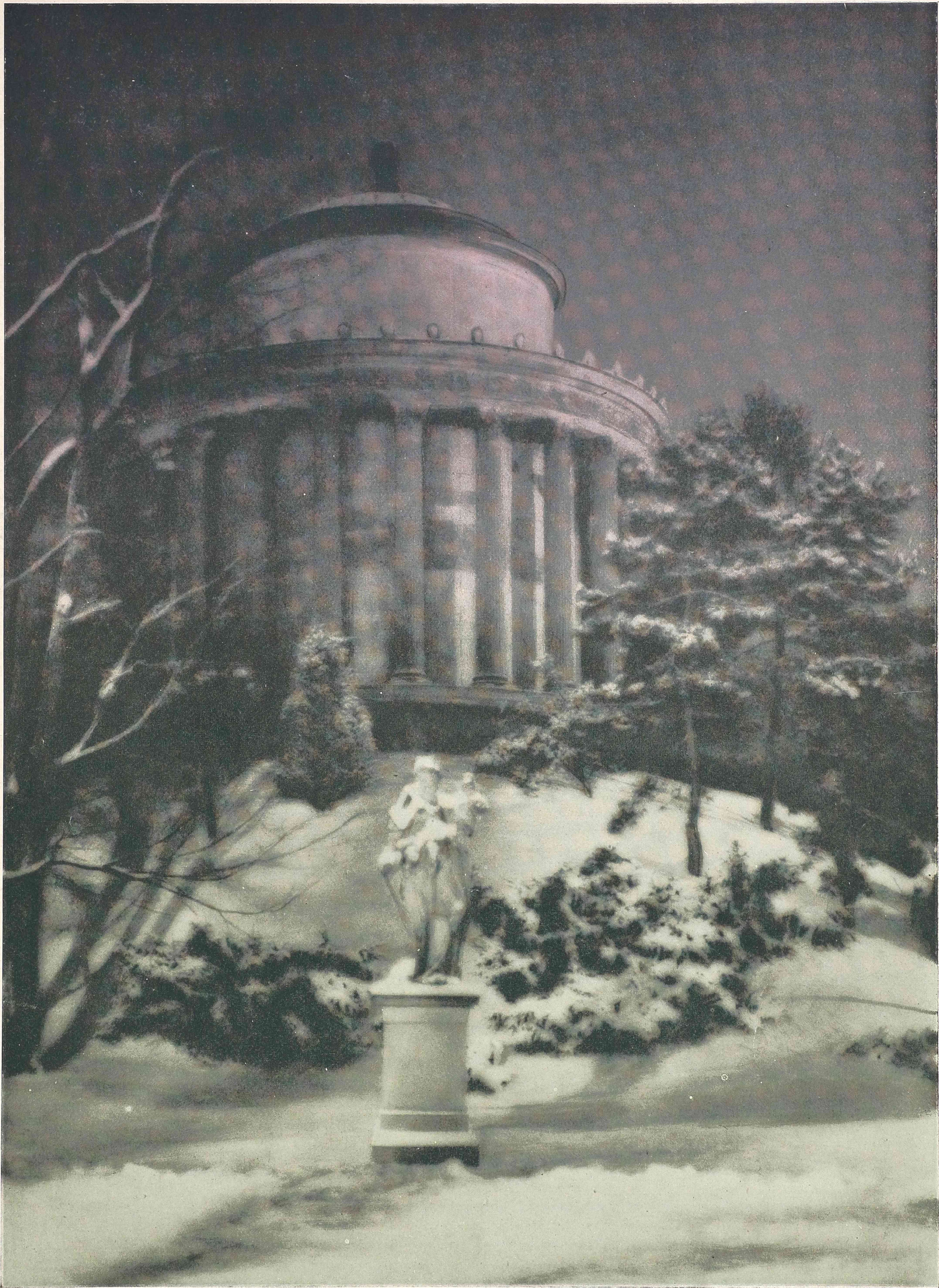


PROF. ZYGMUNT HERYNG

skoro szynk jest tem jedynem miejscem, gdzie się robotnicy skupiają — jedynym u nas „domem ludowym", to trzeba i ten „dom ludowy" w miarę możności wykorzystać.

A zresztą któż może wiedzieć, co w działaniu społecznem ma w naszych warunkach sens, a co nie ma sensu. Zjawiska społeczne nie dają się, jak zjawiska mechaniki, ująć w określone równania — są to raczej równania nieokreślone, gdzie niewiadomych jest znacznie więcej, aniżeli równań. W ten szereg nieokreślonych równań ja wstawiam, na chybił trafił, swoją propagandę, jako pewną wartość — choć sam nie zdaję sobie sprawy, co ta „wartość" jest warta.

Żałuję bardzo, że załączona fotografja nie daje należytego obrazu tej tak charakterystycznej postaci. Wysoki, barczysty, o dużej głowie, okolonej rudawym zarostem, wyglądał Hildt na typowego niemieckiego robotnika, rewolucjonistę z socjalistycznego obozu. Gdym w jakie lat trzydzieści po rozstaniu się z Hildtem czytał „Tkaczów" Haupt-



Ogród Saski w śniegu

Fot. Zygmunt Szporek

mana, tak sobie wyobrażałem „czerwonego Beckera", bohatera tego dramatu robotniczego. To też opanowało mnie zdumienie, graniczące niemal z przerażeniem, kiedy, będąc na przedstawieniu „Tkaczy" w Berlinie, ujrzałem na scenie jakby żywego Kazimierza Hildta. Aktor, grający tę rolę, tak łudząco był podobny do Hildta, nietylko z zewnętrznej charakteryzacji, lecz i z głosu i ruchów, iż miałem złudzenie, że to nieboszczyka Hildta przed sobą widzę i słyszę.

Moralny wpływ Hildta przyczynił się w wysokim stopniu do skierowania mnie na tory socjalistyczne. Do chwili poznania się z Hildtem odpychało mnie od burżuazji raczej jej filisterstwo, aniżeli jej stosunek do wyzyskiwanych przez nią pracowników. Dopiero Hildt otworzył mi oczy na społeczną rolę mieszczaństwa w ustroju kapitalistycznym. Mieszczanin stał się dla mnie pod wpływem Hildta nietylko uosobieniem filisterskiej pospolitości, lecz i wcieleniem oburzającego wyzysku. Byłbym prawdopodobnie dał się wówczas już nakłonić do czynnej akcji w duchu socjalistycznym, gdyby nie me usposobienie bardziej refleksyjne, aniżeli aktywne, i gdyby nie rozstanie się z Hildtem, jako sąsiadem z tej samej ławki szkolnej, gdyż on, choć się gimnazjalną nauką mało interesował, przeszedł do 7-mej klasy, ja zaś (a była to pierwsza ma ofiara na ołtarzu idei socjalistycznej) zostałem na drugi rok w 6-ej klasie. Ustała ciągła wymiana myśli podczas godzin szkolnych. Ustało wzajemne odprowadzanie się i bezustanna dyskusja na tematy socjalistyczne po godzinach szkolnych. Nastąpiła długoletnia przerwa w „scenach mego socjalistycznego widzenia".

Prof. Zygmunt Heryng



Nic nowego pod słońcem

Gilbert K. Chesterton w swej powieści „Napoleon z Notting - Hill" wspomina o grze towarzyskiej, powszechnie lubianej a znanej pod nazwą „zabawy w oszukiwanie proroków" i stwierdza, że na początku dwudziestego stulecia gra w oszukiwanie proroków stała się o wiele trudniejszą, niż była kiedykolwiek. Zjawiło się tak wielu proroków i tyle proroctw, iż zaczęło być rzeczą bardzo trudną ominięcie wszystkich możliwości, jakie już wymyślono...

Ten żart Chestertona trafia w sedno rzeczy: nic się nie dzieje takiego, czegoby filozofowie i politycy nie przewidywali.

Gdybyśmy znali dostatecznie historję starożytną, każdy z polityków mógłby na poparcie swych wywodów przytaczać cytaty np. z czasów znamienitego Króla Hammurabiego, lub nawet wcześniejsze.

„Gadacie wkółko i trzy po trzy, a nikt się nie troszczy, że drożyzna nas gryzie. Kęsa chleba dziś dostać nie mogłem, a susza jak trwa, tak trwa. Wszystkiemu winni policjanci, którzy z piekarzami ręka w rękę idą".

Skąd wyjęte to zdanie? Czy z jakiej współczesnej broszury „proletarjackiej"?

„Bo nikt już w niebo nie wierzy, nikt postów nie zachowywa..."

— Obydwa te zdania, to cytaty z powieści z czasów Nerona.

„A przetoż urząd na to wysadzony, obaczywszy urodzaj zboża a rozrachowawszy, wiele Rzeczpospolita tak dla siebie, jak i przychodnia potrzebuje, niech postanowi pewną liczbę wywożenia, żeby nasze pola nie były komu inszemu rodzajne, a nam płonne. Niech też w doma postanowią cenę, żeby ci, którzy obfitość mają zboża, przedawając drożej, niż przystoi, majętności ubogich ludzi nie niszczyli i rzeczy drugich nie zdrażali... Słusznie ma być chwalon on obyczaj, który się w wielu państwach zachowuje, iż (gdy której ćwierci roku żyto albo i insze zboże najtańsze bywa) urząd skupuje go bardzo wiele i do miejskich szpichlerzy dawa chować, iż jeśliby od nieprzyjaciela niebezpieczność, albo się też ku jakiejś drogości albo niedostatku zboża skłaniało, zawżdy bywa dobrze upatrzona żywność ludzka".

Czy to etatyści lub przeciwnicy rolnictwa domagają się reglamentacji wywozu zboża i utworzenia rezerw zbożowych? Nie. To Andrzej Frycz Modrzewski.

„Trudno milczeć, gdy boli, trudno nie wołać w złej toni, trudno też nie wzdychać w niewoli", w jednej łodzi siedzimy, wiatry przeciwne mamy, wełny biją, maszty łomią, żagle drą, morscy rajtarzy na łódź szturmują, nas dobywają, ognie miecą, łódź palą. Żeglarze śpią. Ja ginąc, na was rata wołam, których wszystkich pomoc wielka, z osobna każdego mała moc w tej łodzi jest. Inak, wszyscy jedną plagą ze mną zginiecie".

Cóż za płomienna odezwa? Czy to z czasów, gdy Polska do upadku się chyliła? Nie, to w XVI wieku, t. j. gdy Rzplita była u szczytu potęgi, pisze Stanisław Oksza Orzechowski.

„Zła konstytucja sprawiła, iż, stawszy się niewolnikami anarchji i nieładu, oddaliliśmy się od szczęśliwości".

Czy to współczesny artykuł polityczny? Czy może deklaracja programowa? Nie. To Hugo Kołłątaj.

„Co uczyni nasz rząd? dokąd dążymy? Ci, którzy przez swoje stanowisko urzędowe powinni to wiedzieć najlepiej, wiedzą właśnie najmniej. Ich polityka jest polityką wybiegów i półśrodków; położenie wewnętrzne i zewnętrzne napręża się coraz bardziej..."

Czy to atak obecnej opozycji na rząd? Czy manifest wyborczy? Nie. To Adam Mickiewicz w Trybunie Ludów 11 października 1849 r.

Więc słuszność ma Pismo Święte, gdy pisze: — „Co było, jest to, co być ma", a co się teraz dzieje, jest to, co się dziać będzie, a niemasz nic nowego pod słońcem".

„Jest że jaka rzecz, o którejby kto rzec mógł: Wej! to coś nowego? I toć już było za onych wieków, które były przed nami" (Ecclesiastes 1—9,10).

J. M. Życki.

MARJA PAWLIKOWSKA

DZIEWCZYNKA POD LATARNIĄ

Pomijacie mnie wy, bladoocy,
źli mężczyźni z parasolami...
Lśni deszcz.
Jak ciężko mi z wami!
Tracę przez was na mocy.
Lecz nie dam się pognębić
waszej zimnej zgrai.
Dowiedzcie mi przedtem,
że nie ja byłam kiedyś
kurtyzaną Thais
o której mówiono mi szeptem...
Z białych ramion Aleksandra
[Wielkiego
przeszłam w ręce Lagosa,
[Faraona...
Ten mnie uczynił królową.
Dowiedzcie, że ja
to nie ona,
i idźcie, idźcie dalej
ślepi,
głusi,
z twarzą surową...



Dnia 14 lutego odbył się w Warszawie doroczny dwudniowy Zjazd rektorów państwowych szkół wyższych. Obrady rektorów odbywały się w Uniwersytecie warszawskim. Siedzą od lewej do prawej: rektorzy S. Kasznica, T. Brzeski (Warszawa), ks. C. Falkowski (Wilno), dr. Szramm (Lwów), Z Markowski (Lwów), Biedrzycki (Szkoła Gł. Gospodarstwa Wiejskiego Warszawa), prof. Pszenicki (Politechnika Warszawa), prof. Hoyer (Kraków), Skoczylas (Akademja Górn. Kraków), prof. Weigel (Politechnika Lwów)

CO CZYTAĆ?

„Serce lodów" Ferdynanda Goetla

Nowa powieść Ferdynanda Goetla budzi łatwo zrozumiałe zainteresowanie. Gdyby nawet „Serce Lodów" nie otrzymało nagrody państwowej za rok ubiegły, czytelnicy „Pątnika Karapety", „Kar-chatu" wzięliby ją również do ręki. Zawdzięczają przecież F. Goetlowi tyle wrażeń, tyle wizji, tyle przygód egzotycznych! Nowa powieść jest osnuta na tle przeżyć identycznie niezwykłych. Akcja jej rozgrywa się wśród pól lodowych Irlandji. Czytelnicy F. Goetla pamiętają opis jego podróży „na wyspę wśród chmurnej północy". „Serce Lodów" nie jest więc tylko fantazją literacką! Autor zamieścił w jej fabule wrażenia z podróży i przetransponował je na erotyczno-uczuciowy romans. Zręcznie przeciwstawił ubogą, niepociągającą rzeczywistość środowiska uniwersyteckiego czarom polarnego krajobrazu.

Dr. Zataj, bohater powieści, profesor, geolog, tworzy nową teorję o przesuwaniu się lodowców! Teorja ta głosi zagładę życiu organicznemu na ziemi. Nie jest ona nowością, ale nie o nią chodzi, lecz o uczucia, które związały się z tą naukową hypotezą. A uczucia to szczególne. Narodziły się wśród śniegów Islandji. Dr. Zataj tu poznał Ingeborgę, siostrę cudownego przewodnika Nilsa i żonę twardego chłopa Ejnara. W jej ramionach zakwitł polarny kwiat męskości dr. Zataja. Fakt ten zrodził wszystkie konflikty i stał się tragicznym dla profesora. Nie mógł dotrzeć w głąb serca lodów, co było jego zadaniem naukowem, a w dwudziestu lat później również przeszkodziło jego eksploracji i spowodowało morderstwo. Głupawy Johann zabił dr. Zataja z zazdrości. Kochał się on w Bercie, córce Ingeborgi i to skłoniło go do morderstwa.

Tragicznie skończyła i żona Ejnara. Znaleziono ją zmarzniętą na polach lodowych. Zginął i Nils, świetny przewodnik.

Polarny ten świat, prosty w konturach, o ileż jest bardziej ciekawy od romansów pani profesorowej Zatajowej, puszczającej się z docentami, oficerami, poetami. Urok pejzażu północnego nie potrzebuje współzawodniczyć z wyziewami kawiarni i restauracji. Niema w tem żadnego porównania! Uwaga czytelnika staje natychmiast przy zdrowej islandzkiej atmosferze, nasyconej wichrem z oceanu. Powieść ta nie jest równa w plastyce i nie wysuwa się wcale na czoło twórczości beletrystycznej polskiej.

Ferdynand Goetel na wyspie tej znalazł swoją ziemię obiecaną. Dała mu w stosunkowo wczesnym wieku nagrodę państwową. Zaprowadzi niechybnie i spopularyzuje wśród szerokiego czytelnictwa. Nie ulega też wątpliwości, że skłoni filmowców do podjęcia realizacji „Serca Lodów" na ekranie. Powieść ta posiada duże walory filmowe. O ile znajdzie reżysera na miarę F. Langa, który zmontował „Kobietę na księżycu", zdobędzie sobie i publiczność kinową. Tak mało mamy przecież filmów o krajobrazach polarnych, a treści naukowo-eksploracyjnej i romantycznej. Najpiękniejsze stronice „Serca Lodów" opowiadają właśnie o przeżyciach wśród lodowców, hal, zamieci śnieżnej, wzlotach i upadkach dusz ludzkich, dążących do prawdy.

E. C.

Pamiętnik warszawski

Ukazał się zeszyt czwarty *Pamiętnika Warszawskiego*, zamykający pierwszy rocznik tego czasopisma.

Świeżo wydany zeszyt przynosi m. in.: szereg studjów, poświęconych najdonioślejszemu dziś zagadnieniu t. zw. „kryzysu" kultury europejskiej (J. Parandowskiego „W obronie Zachodu", B. Suchodolskiego „Ideologja faszyzmu", Z. E. „Przyszłość inteligencji" etc.); artykuły, dotyczące ważnych spraw polskiej kultury ludowej (A. Chętnika „Ostatni Kurpie", A Polewki „Uwagi o teatrze robotniczym", Szycaka „Chłopski Uniwersytet w Szycach"), charakterystyki twórców i uczonych: Orzeszkowej i Jacka Malczewskiego, Lelewela i Jana Baudouina de Courtenay; w dziale „literatury pięknej" — nieznane wiersze i listy Norwida, poezje Staffa, Leśmiana, Pawlikowskiej i in., nowele M. Dąbrowskiej, P. Choynowskiego, S. Balickiego; wreszcie — bogaty dział sprawozdań krytycznych z ruchu literackiego, teatralnego i naukowego.

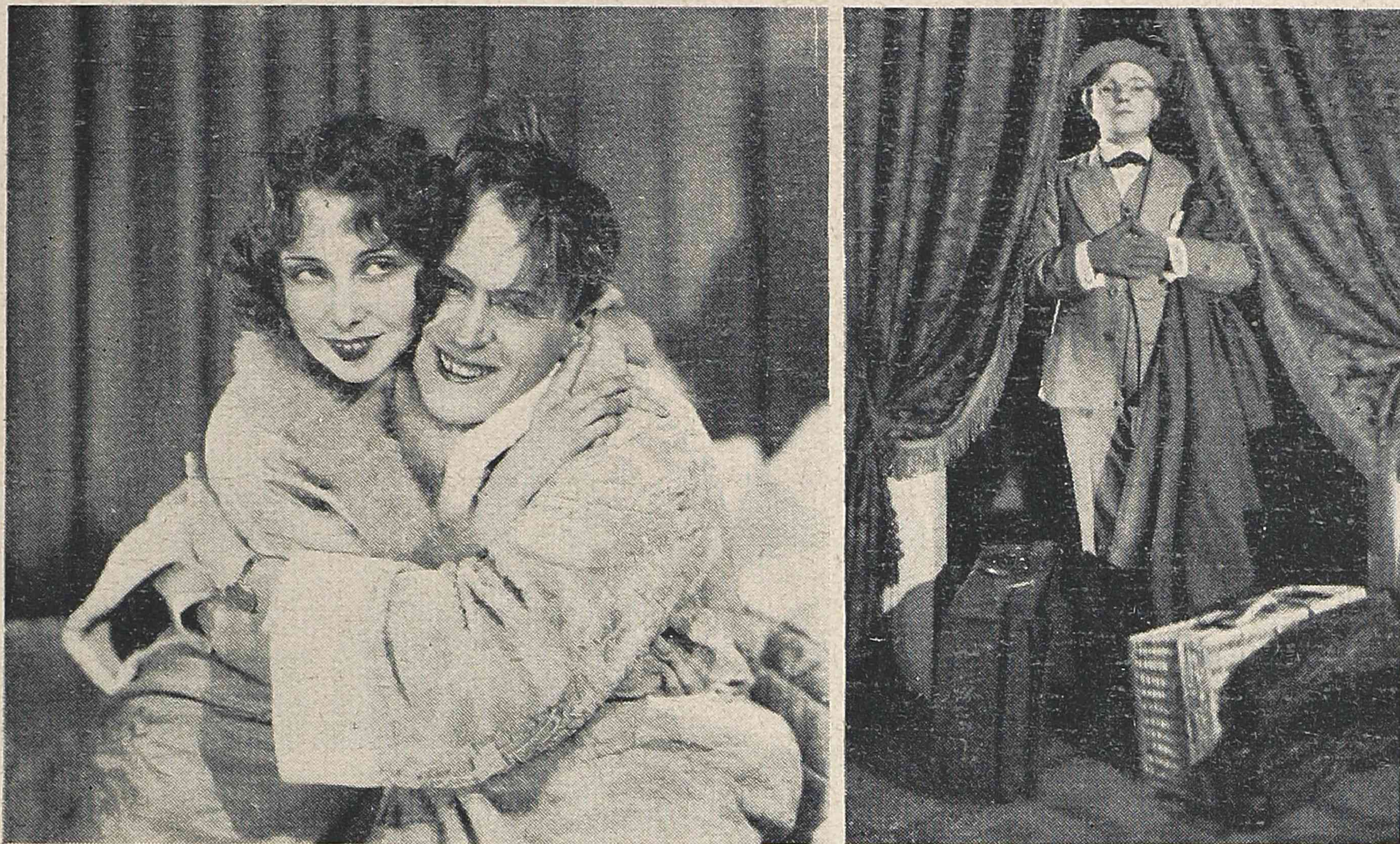
Od dn. 1 kwietnia b. r. *Pamiętnik* przekształca się z kwartalnika na miesięcznik, przechodząc równocześnie pod redakcję L. H. Morstina przy współudziale J. Parandowskiego.

ZMIANY W NASZEJ ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ



P. JERZY PACIORKOWSKI, BYŁY SZEF GABINETU PREZYDJUM RADY MINISTRÓW, ZOSTAŁ MIANOWANY WOJEWODĄ KIELECKIM

TEATR LETNI: „MĄŻ NASZEJ PANIENKI", KOMEDJA W 3-CH AKTACH GUSTAWA BEYLINA



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: PP. „HANIA" (O. LESZCZYŃSKA), „MAŁŻONEK" (ŁUSZCZEWSKI) I „ASTRONOM" P. (KURNAKOWICZ) Fot. Jan Malarski

TEATR I MUZYKA

Mąż naszej panienki

Artyści Teatru Letniego z niewątpliwą przyjemnością grają ostatnią sztukę Gustawa Beylina p. t. *Mąż naszej panienki*, ponieważ przyzwyczaili się odnosić sukcesy w dowcipnych sztukach paryskich, a najświeższa premjera drewnianej świątyni Melpomeny z Saskiego ogrodu, będącego czemś w rodzaju świętego gaju „człowieka z budki suflera", jest wiernem zwierciadłem wdzięcznych bulwarowych pieces francuskich. Lub może zwierciadłem cokolwiek i niewiernem, tu i owdzie umyślnie wgiętem, ironicznie wyolbrzymiającem niektóre cechy uświęconej formy teatralnej francuskiej wieku dziewiętnastego, formy doprowadzonej do ideału przez rozkoszną, dziś już nieżyjącą spółkę autorską, w jednej połowie swojej akademicką, de Flersa i de Caillaveta. Niech mnie Apollo broni przed złorzeczeniem tej formie, tyloma powodzeniami dumnej, ostatnio znów tryumfalnie o sobie świadczącej dwuletniemi „kompletami" Pagnola, Verneuila i Bourdet'a. Każdy typ sztuki scenicznej, jak każdy typ wiersza, tyle jest wart, ile jest wart autor. Angielscy dramaturgowie doby elżbietańskiej używali jednakowego typu sztuki teatralnej, ale Szekspir był między nimi genjalny. Nie typem się od nich różnił, lecz genjuszem. I bulwarowa sztuka paryska może być genjalna, jeżeli napisze ją Henri Becque, i melodramat może być genjalny, jeżeli go napisze Sieroszewski (ex *Bolszewicy. A propos*, czyby nie należało wznowić tej świetnej sztuki wobec takiej mody w Europie na Sowdepję? Z jednej strony Kutiepow, Biesiedowskij, palenie cerkwi pod Moskwą, aresztowanie rabinów w Mińsku, z drugiej strony wielkie zainteresowanie się na całym świecie dramatami i powieściami wojennemi). Tedy p. Gustaw Beylin napisał, od tytułu począwszy, na finale kończąc, *une piece*, bawiąc się po drodze dyskretnem żartowaniem z tego genru teatralnego. To mu wolno i nikt mu tego nie weźmie za złe. Natomiast wszyscy mu będą wdzięczni za pretekst, jaki dał do popisu aktorskiego uroczej pani Oli Leszczyńskiej. Grała prześlicznie, mimo premjerowej tremy, i w każdej z trzech tysięcy sukien była powabniejsza. Autora wywołano po drugim akcie i nagrodzono oklaskami. Był blady i uśmiechał się tak niewyraźnie, jak p. Kurnakowicz w roli Tymoteusza Gałązki, pierwszego *Męża naszej panienki*. Premjera nie jest dla autora synekurą. To też każdy autor woli pięćdziesiąte przedstawienie swojej sztuki, czego i Gustawowi Beylinowi życzę z całego serca.

Melodramat

Nie lubię sztuk teatralnych, pisanych przez powieściopisarzy, t. j. przez ludzi, posiadających talent powieściopisarski przy jednoczesnem nieposiadaniu talentu dramatopisarskiego (co jest prawie regułą w świecie literackim, jakgdyby pierwszy talent wyłączał drugi). Formy dramatycznej można się nauczyć, ale używanie jej nie czyni jeszcze z pisarza dramaturga, jak używanie formy sonetu nie czyni z piszącego — poety. Powiem

„RYWALE" W TEATRZE NOWYM W POZNANIU



WYKONAWCY RÓL GŁÓWNYCH: PP. CIESZKOWSKA, BYSTRZYŃSKI I MAZANEK. DZIĘKI STARANNEJ I UMIEJĘTNEJ REŻYSERJI DYR. RUDKOWSKIEGO, SZTUKA PP. M. ANDERSONA I L. STALINGSA DOZNAŁA WIELKIEGO POWODZENIA



WILHELM BACKHAUS, PIANISTA O WSZECHŚWIATOWYM ROZGŁOSIE, WYSTĄPI Z RECITALEM W FILHARMONJI WARSZAWSKIEJ W CZWARTEK 27 LUTEGO



SONIA PAWELL KLECZKOWSKA, UROCZA ARTYSTKA POLSKA, KONCERTOWAŁA DN. 20 STYCZNIA W PARYŻU, ODTWARZAJĄC Z WŁAŚCIWYM JEJ TALENTEM PIEŚNI LUDOWE, MARYNARSKIE, ETC. RÓŻNYCH KRAJÓW



JÓZEF OZIMIŃSKI, ZNANY SKRZYPEK I KAPELMISTRZ, ODZNACZONY ZOSTAŁ ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI ZA SWĄ WIELOLETNIĄ DZIAŁALNOŚĆ NA POLU KRZEWIENIA MUZYKI W POLSCE

więcej: powieściopisarz mimowoli oddramatycznia formę dramatyczną, jeśli się nią posługuje, a czyni to mocą odmiennej zasadniczo natury swojego talentu. Ale ponieważ teatr jest instytucją pociągającą, więc często się zdarza, iż sztuki w nim wystawiane są pochodzenia powieściopisarskiego, zwłaszcza że i talent dramatopisarski jest nieskończenie rzadszy.

Po raz pierwszy zdarzyło mi się przecież być w teatrze na przedstawieniu powieści, napisanej dla teatru przez stuprocentowego dramaturga: było to w Teatrze Polskim na *Melodramacie* Henri Bernsteina. Autor *Samsona, Złodzieja, W szponach* jest znakomitym majstrem scenicznym, jest urodzonym pisarzem teatralnym i pisarzem, który zna wszystkie tajemnice sztuki dramatopisarskiej. Główny, najefektowniejszy, najatrakcyjniejszy akt w sztuce, — a takim aktem według obyczaju francuskiego bywa zwykle akt drugi — zbudować w dwie osoby, tylko w dwie osoby, i na nim oprzeć powodzenie sztuki, to dla Bernsteina fraszka. I oto ten mistrz środków dramatopisarskich, widząc powodzenie wstęg kinematograficznych i powojenne zamieszanie pojęć teatralnych, spowodowane przez nową, powojenną, prymitywniejszą publiczność, wrażliwszą na widowisko, niż na dramat, postanawia współzawodniczyć na scenie z kinematografem i music - hall'em, występując do tego współzawodnictwa w pełnej zbroi swoich niezawodnych środków autentycznego dramaturga. W modzie jest powieść, sensacja i ekran — Bernstein pisze pierwszy dźwiękowy film bez ekranu. I zwycięża. Paryskie powodzenie *Melodramatu* prześciga powodzenie wszystkich filmów i programów music-hall'owych, *Melo* przez rok nie schodzi z afisza, bo publiczność, stale zawiedziona na tekście wybornie wyświetlanych filmów, na Bernsteinowskim filmie aktorów żywych i wgłębionego ekranu nasyca się i tekstem. Pewien autor francuski, dowiedziawszy się o wynalezieniu kinematografu dźwiękowego, zawołał z rozpaczą: „Więc teraz niemi idjoci ekranu zaczną mówić!" Otóż Bernstein wystawił w teatrze i na scenie bez aparatów Goldwina-Meyera pierwszy film mówiący z bohaterami nie upadłymi na głowę. Publiczność odetchnęła. Olbrzymie powodzenie *Melo* powinno zwrócić uwagę twórców nowowynalezionego kina na konieczność podniesienia poziomu przeciętnej inteligencji herosów srebrnego prostokąta. W ostatnich dwóch czy trzech latach publiczność zaczęła się odwracać od kina właśnie z powodu głupoty *dramatis personae*. Ostatnią swoją sztuką Bernstein dowiódł, że teatr, jeżeli chce, z łatwością położy kinematograf na jego własnym, kinematograficznym terenie. I dokonał rzeczy jeszcze fenomenalniejszej, dowiódł, że nawet powieści można słuchać na scenie z zapartym oddechem, jeżeli tę powieść napisał dla sceny prawdziwy dramaturg. Gdy najprawidłowiej i najsumienniej napisany dramat przez powieściopisarza zawsze w teatrze potrosze nudzi, fenomenalność ostatniej sztuki Bernsteina spotkała się z fenomenalnością jej wykonania w Teatrze Polskim. Pani Przybyłko - Potocka jako trucicielka z miłości w genjalny sposób otwiera dla wzruszonych spektatorów całą głębię cierpiącej duszy swojej nieszczęsnej bohaterki. Równie genjalnie gra Junosza Stępowski człowieka otrutego przez miłość. Ten taniec bólu i śmierci snuje się w tercecie, którego nutę wdzięku wziął na siebie Jerzy Leszczyński, a Karol Frycz zanurzył wszystkich w uroku swoich dekoracji.

Wacław Grubiński

Karol i Anna

Teatr „Ateneum" posiada specjalne zamiłowania repertuarowe. Po „Hinkemannie", „Bronx - Expressie", „Weselu Zakopiańskiem" ujrzeliśmy głośną w Niemczech, Francji i Anglji sztukę Leonarda Franka p. t. „Karol i Anna". Jako eksperyment, sztuka ta usiłuje narzucić widzowi przypuszczenie, iż rzeczywistość można zastąpić koszmarem wyobraźni, zbolałej, udręczonej, steroryzowanej wydarzeniami wojennemi. Jeńcy niemieccy Ryszard i Karol wśród cierpień w obozie rosyjskim znajdują jedyną pociechę w wspomnieniach z ojczyzny. Ryszard zostawił kochaną i kochającą żonę Annę. Do niej też powraca nieustannie myślą. Wprowadza powoli w swoje przeżycia Karola, który przejmuje się niemi, ulega,

bierze je za swoje. Gdy zmuszony jest do ucieczki z obozu, żyje niemi dalej i wyobraża sobie, że Anna jest jego żoną. Przedziera się do niej i tu ... miast dostać się do kliniki, zostaje w robotniczej izbie, podbija serce Anny.

Z tego wypłynie konflikt, bo niezadługo wróci i Ryszard. Konflikty takie były częste i bez tego rodzaju sztucznej, literackiej koncepcji. Rodziły się one z głodu krwi, lub zwyczajnie z głodu! Artyści czynili wszystko, by uprawdopodobnić tę wykombinowaną fabułę. Czy z powodzeniem?

Jak prowadzić sezon operowy w Warszawie?

Naogół czyni się zawsze wyrzuty kierownictwu, wylicza się niedokładności przedstawień, udziela się przygany tym czy owym śpiewakom, nie mówi się jednak o publiczności. Tymczasem, jak tu prowadzić sezon operowy w Warszawie bez publiczności?

Takie refleksje nasunęły mi się na ostatniem przedstawieniu Zmierzchu Bogów Wagnera w Teatrze Wielkim. Przedstawienie wspaniałe. Zrobiono wszystko, co leży w siłach zespołu. Orkiestra pod batutą Dołżyckiego sprawna, prężna, olbrzymia fala muzyki wagnerowskiej brzmi i dźwięczy świetnym podniosłym patosem. Wykonawcy, więc: Dygas, Michałowski, Jaroszówna, opanowali swoje partje doskonale, całość ze wszech miar poważna i udatna, — cóż kiedy na widowni pusto?

Nietylko pusto w lożach i na parterze, lecz pusto na trzeciem i czwartem piętrze. Gdzież więc jest ta muzykalna młodzież stolicy, gdzież ci amatorzy - miłośnicy, którzy w niedzielę powinni tu byli przyjść, którzy we wszystkich, choćby o tyle o ile muzykalnych miastach wypełniają na takiem przedstawieniu zawsze górne piętra teatru.

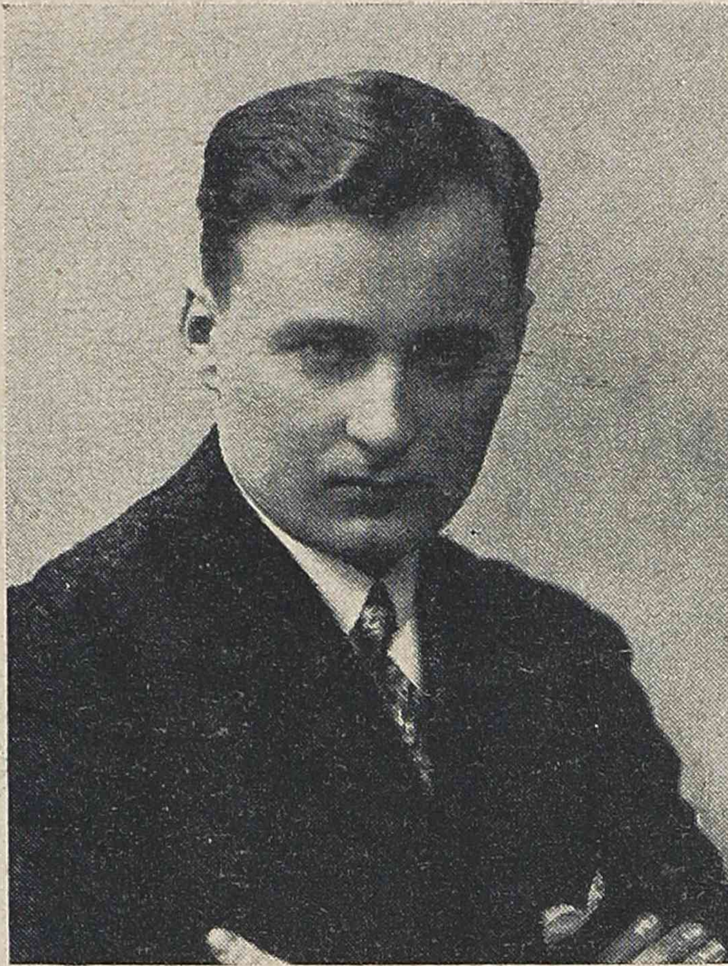
Czy Warszawa jest rzeczywiście niemuzykalnem miastem?

Zorganizowana przez Wyższą Szkołę Muzyczną im. Chopin'a wymiana laureatów pomiędzy ościennemi krajami przynosi, jak okazuje praktyka, doskonałe wyniki. Po gościnie Czechów, nasi młodzi muzycy, to jest B. Wójtowicz i Totenberg, grali na takim wymiennym koncercie w Pradze Czeskiej.

Muzycy nasi spotkali się w Pradze ze świetnem, przyznać też trzeba świetnie zorganizowanem przyjęciem. Sala koncertowa wypełniona była po brzegi, dano możność młodym naszym muzykom zaznajomienia się ze światem krytyki muzycznej czeskiej. Poważny sukces odniósł p. B. Wójtowicz nietylko jako pianista (grał oprócz koncertu wymienionego własny recital) lecz także jako kompozytor.

Obecnie prowadzone są pertraktacje o występ naszych laureatów (B. Kon i Roesner) w Moskwie, ewentualnie też w Budapeszcie.

W związku z tą inicjatywą koncertów wymiennych przypomnieć należy inicjatywę Wyższej Szkoły im. Chopin'a, dotyczącą konkursu imienia Mistrza w Warszawie. Ten wielki konkurs międzynaro-



BOLESŁAW WÓJTOWICZ

dowy, który cieszył się takiem powodzeniem, należałoby zawczasu najstaranniej obesłać, uwzględniając wnikliwiej, niż za pierwszym razem, sprawę międzynarodowego składu sędziów, oraz warunków dla samych laureatów, aby nie działy się takie niespodzianki, jak przy pierwszym konkursie, gdy dzięki nieokreślonym ściśle warunkom pianiści słabsi (Oboryn) odnosili zwycięstwo nad znacznie lepszymi (Müncer, Gimpel).

Jkb.

Karnawał łódzki

A zatem precz z falą... protestów, zalewającą Łódź. Precz z falą 233,8, którą Polskie Radjo komunikuje, jako falę, na której „pracuje" łódzka stacja. Precz z falą 244, którą łódzka stacja podała „detektorowcom" do wiadomości publicznej przy pomocy poczty pantoflowej... Dajmy się unieść fali zabawy, boć to przecież karnawał, karnawał!

Przez świat cały ciągnie figlarna piosenka i korowody masek zataczają się w beztroskim tańcu. Słyszy się przecież rozmaite rzeczy na ten temat i widziało się też niejedno.

W Paryżu szaleństwo wypływa z zamkniętych lokali na ulicę i rozlewa się szeroką gamą radosnej zabawy, obejmującej wszystkich i wszystko.

W Nicei ubiera się auta w co kosztowniejsze kwiaty i hajże na bulwary! Potrzebne do tego są dwie błahostki: auto i pieniądze, lecz kto ich w Nicei nie ma? Zresztą znałem już i takich, co się bez auta i bez pieniędzy bawili wybornie...

Nawet Ameryka, ta przysłowiowo poważna Ameryka, wychodzi ze skóry drapaczy chmur i urządza karnawałowe pochody monstre po prostokątnych ulicach. Zresztą robi to się tam bardzo sprytnie. Koszty wystawowego pochodu ponoszą reklamujące się w nim firmy. Więc tłum wesoły i firmy zadowolone.

O tem wszystkiem szanujący się łodzianin cośniecoś wie. Robi wypady na Europę i wchłania od czasu do czasu trochę tych rozkosznych dziwów.

Łódź też słynie ze swego karnawału. Karnawał łódzki jest najsmutniejszy na świecie.

Miesiące karnawałowe różnią się od innych tem, że regularnie co tydzień, w nocy z soboty na niedzielę, odbywają się maskarady.

Nocne te bale dlatego noszą szumną nazwę maskarad, że nikt nie przychodził na nie w masce.

Wogóle Łódź słynie z balów i zebrań prywatnych. Zarówno łodzianka, jak i łodzianin nie umieją bawić się publicznie, chyba tylko po za Łodzią.

Zasadniczo więc na zewnątrz karnawał objawia się wzmożoną falą protestów i tradycyjnemi maskaradami, urządzanemi co tydzień przez towarzystwa dobroczynne w przeznaczonej jakby ku temu sali Filharmonji.

Jak taki bal-maskarada wygląda?

Sala zwykle jest bogato udekorowana. Na bogactwo owo składają się fantastycznie zwieszające się skrawki różnokolorowych bibułek. Dokoła ustawione są kioski. Motywami dekoracyjnemi i zdobniczemi są tutaj upierścienione palce i uklejnocone szyje dam z towarzystwa.

Przygrywa jazz-band salonowy, orkiestra wojskowa, strażacka lub policyjna. Każdy tańczy, jak umie, a częściej, jak nie umie.

Charakterystyczną cechą są fantastyczne kostjumy, któremi pewna część publiczności urozmaica bale.

Zawsze więc jest żokiej kobieta, kilku dżentelmanów przebranych za apaszów, kilku apaszów za dżentelmanów. Najczęściej spotykanym jest kostjum marynarski. Luźny ten kostjum pozwala bowiem ukryć wybujałości kształtów, co nie jest rzeczą do pogardzenia. Pozatem wszyscy mężczyźni są w strojach wieczorowych, przyczem kolor materjału ubraniowego waha się od jasno-beige aż do czarnego.

Flirt jest bardzo wytworny, posądza się nieznajomych o zamaskowanie, gdy tymczasem jedyną maską danego nieboraka jest własna jego twarz. Przyrównuje się kobiety do słowików, a jako motyw i dowcipną pointę podaje się odpowiedź, że często można je spotkać w krzaczkach. Jednem słowem, flirt salonowy.

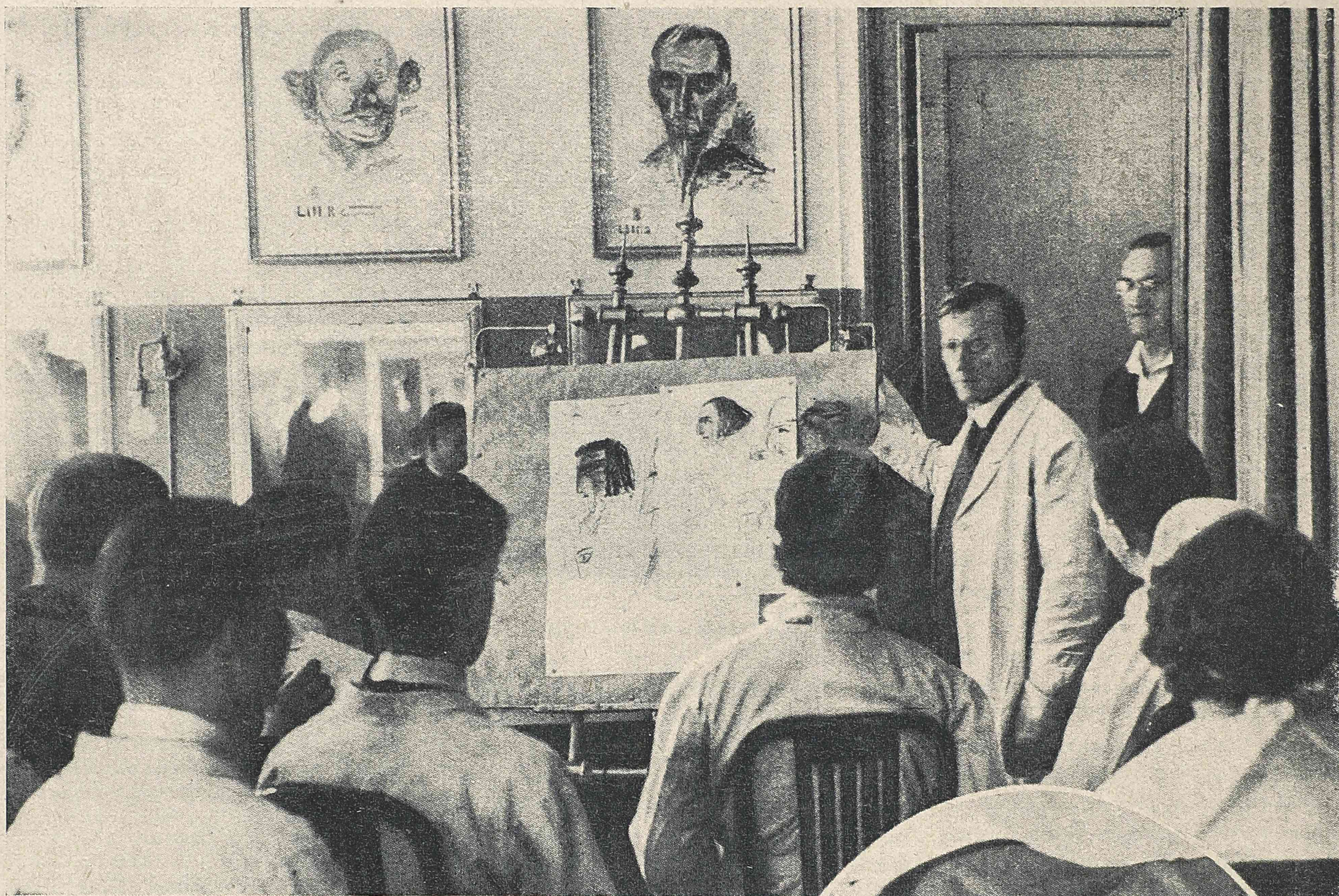
Reflektory przerzynają błyskami dosyć mroczną salę, kobiety po raz setny ofiarują w słowach pełnych niezrozumiałej tęsknoty swe utajone marzenia...

A łodzianin na odchodnem cieszy się, że chociaż się nie zabawił, ale wydał tylko złotówkę na garderobę.

Są jednak i milsze, i wytworniejsze, i bardziej interesujące bale. Do tych ostatnich zaliczają się: bal artystów i reduta prasy.

Stanfel.

AKADEMJA SZMINKI W HOLLYWOOD



PROFESOR POUCZA, JAK NALEŻY SZMINKOWAĆ OCZY



JAK ROBI SIĘ CHARAKTERYSTYCZNĄ MASKĘ

Mistrzem charakteryzacji był u nas ś. p. Kazimierz Kamiński. Artysta ten potrafił twarz swoją przeistoczyć w niezwykły sposób. Ale nietylko twarz. Całej postaci umiał nadawać pożądany kształt. Świetnym też reprezentantem sztuki charakteryzacyjnej jest Ludwik Solski. Wszyscy pamiętamy jego Gamrata, tłuściocha, o twarzy z podbródkami, z pieprzykami. Mistrz Solski, jak wiadomo, jest szczupły, o twarzy ściągłej, nerwowej. Z aktorów młodszej generacji umieją się charakteryzować: Junosza-Stępowski, Jaracz, Węgrzyn. Nie jest to rzecz łatwa. Wymaga specjalnej umiejętności. Uczą jej w szkole dramatycznej, ale i doświadczenie własne wiele przyczynia się do finezji charakteryzacji.

W Hollywood, stolicy filmu, istnieje specjalna akademja szminki. Na ekranie wymagana jest fotogeniczność rysów twarzy. Niema oblicza, by nie trzeba było cokolwiek go poprawić dla soczewki. Adepci filmowi muszą więc starannie wyuczyć się tej sztuki poprawiania urody. W Hollywood na kursach „szminki" wykładają malarze, rzeźbiarze, specjaliści od charakteryzacji dla filmu Jest ta wiedza stosowana drogo opłacana. Każdy artysta filmu chciałby bowiem zostać Leonem Chaney, słynnym transfomistą ekranu, jeżeli nie stać go na marzenia o karjerze wielkiego Duga lub Charlie Chaplin'a.



Moda

STOSUNEK DO NIEJ KOBIETY I JEJ MĘŻA— CO O TEM MÓWIĄ OBOJE?

Ankieta „Świata"

Tekst i rysunki Ireny Pokrzywnickiej



Najwyższy czas poznać prawdę.

Sprawa jest ważniejsza, niż nam się dotąd zdawało.

Chodzi o styl epoki! Tembardziej dziś, kiedy moda zatacza coraz szersze kręgi, kiedy weszła już w życie wszystkich stanów, stała się czemś na codzień.

W Paryżu u stóp pomnika Dantona wyryto proste, głębokie słowa, które są istotą dzielnicy łacińskiej: „Après le pain, l'éducation est le prèmier besoin du peuple!"

U nas, szczególniej w Warszawie, jako pierwszą potrzebę po chlebie stawia się często modną suknię.

Niewątpliwie tkwi tu duża przesada. Dlatego nie od rzeczy byłoby zbadać, jaki jest właściwy stosunek do tej żywej sprawy — kobiety i jej męża?

Jak jest naprawdę? Bo to, co panowie mówią przy każdym większym rachunku krawca, bywa może zbyt stronne. Zresztą, co mówią naprawdę, to wie jeden Bóg i cierpliwa żona.

W godzinę potem świat widzi strojną kobietę i dumnie uśmiechającego się męża, bo ambicja posiadania dobrze ubranej żony jest zazwyczaj duża i słuszna nawet.

Ale czy nie lepiej byłoby przyznać się do tego i raz na zawsze wykreślić obłudne zdanie z repertuaru większości panów:

— „Lubię gdy jesteś ubrana cało, ciepło i czysto".

Jest to znów przesada, tylko w innym kierunku.

Ale żeby wiedzieć, jak jest istotnie, prawo głosu muszą mieć obie strony:

Ta, dla której powstaje moda, i ten, który płaci rachunki.

Jest prawdą ściśle dowiedzioną, że Bóg stworzył kobietę, a mężczyzna kazał jej być piękną. Poprostu kiedyś niebacznie powiedział:

— „Rób wszystko, aby mi się podobać"!

Stało się więc. Rzecz prosta, mężczyzna winien z entuzjazmem ponosić konsekwencje swego egoizmu.

W epoce juralskiej wzorowy mąż dogonił strusia i upolował sto sztuk idealnie białych gronostai.

Oczywiście, kobieta, mając takie futro i wachlarz, mogła śmiało iść na każde większe zebranie, zachowując doskonały humor.

Obecnie jest trochę inaczej.

Co o modzie myśli kobieta i jej mąż, wyjaśnią nam odpowiedzi kilkunastu osób, proszonych do wzięcia udziału w ankiecie.

Aby nie wpadać w monotonność i dać możliwie jak najszerszy rzut oka na tę interesującą sprawę, dajemy głos najwybitniejszym przedstawicielom wszystkich działów sztuki, literatury, nauki, polityki, sportu i życia towarzyskiego.

Pani Maurycowa Potocka

Oto urocza, nieduża osóbka, wytwornie ubrana, pełna wdzięku i czaru. Gdy przechodzi, ktoś odwrócił się i szepnął:

— Brydzińska!

Towarzysz poprawił go szybko.

— Hrabina Maurycowa Potocka...

Zbliżam się skwapliwie i witam.

— Jak to dobrze, że panią spotykam, tembardziej, że...

— Tembardziej, że co?

— Chcę się o coś spytać, ale niestety! Pytanie moje jest z kategorji tych, na które panie zazwyczaj nie chcą odpowiedzieć szczerze...

— Tak niedyskretne?

— Być może.

— A dla mnie?

— Dla pani chyba — nie. Pani ubiera się nie tylko modnie, ale interesująco. Suknia pani jest odpowiedzią na moje pytanie.

— Więc ankieta na temat toalety kobiecej?

— W każdym razie z tej dziedziny. Więc niech pani powie coś o modzie. Czego pani od niej wymaga?

— Wymagam, żeby była piękna i logiczna, a biorę z niej tylko to, co harmonizuje z moją osobą.

— Czy po za suknią interesuje panią modna linja automobilu, mebla, wogóle wszystkiego, co panią otacza?

— Oczywiście, że tak. Przecież to się ściśle łączy ze strojem kobiety. Źle ubrana dama w pięknym samochodzie — to duże wykroczenie przeciwko estetyce.

— Zatem nie bagatelizuje pani znaczenia mody w życiu, uważając ją za poważny dział sztuki dekoracyjnej, żywej?

— Moda mnie interesuje przedewszystkiem jako inwencja artystyczna. Każdy nowy model sukni, nowy kolor, ornament na materjale komponują najzdolniejsi malarze w Paryżu.

— A czy te wszystkie najnowsze kierunki malarstwa, mające silny refleks w sylwecie współczesnej kobiety, nie przerażają pani zbyt śmiałą linją?

— To jest właśnie interesujące i zabawne. Lubię taką propagandę modernizmu za pomocą własnej sukni. Szkoda, że u nas o modzie tak mało się mówi z artystycznego punktu widzenia, a za wiele — z punktu widzenia krawcowej. Dlatego może w toalecie Warszawianek dominuje monotonja stale kopjowanego modelu.

— Jak na panią działa każda zmiana w modzie?

— Świetnie! Dzięki zmianie, my kobiety mamy co sezon nowe wrażenia, nowe emocje, czy choćby złudzenia, że jesteśmy coraz młodsze, coraz piękniejsze, zawsze inne. To także chyba coś warte w samopoczuciu. Prawda?

— Czy prawda? Poprostu marzę o takiem samopoczuciu.

— A propos ostatnich nowości, czy pani wie, że na rano teraz modna jest twarz doskonale umyta, bez żadnej szminki i pudru?

— Owszem wiem. Sama wczoraj zrobiłam taki experyment.

— Jak wypadło!

— Dosyć średnio. Pytano się ze łzami w oczach, co mi jest, że tak źle wyglądam.



P. MAURYCOWA POTOCKA

— A więc co czynić?

— Malować się w dalszym ciągu, wmawiając w otoczenie, że tego się wcale nie robi, że wogóle jesteśmy takie różowe z natury.

Prof. Edward Wittig

— Chcę pana o coś zapytać!

— Słucham.

— Idzie mi o odwieczny temat i problem plastyka. Na kształcie kobiecego ciała zmienna rytmika draperji... czyli poprostu moda.

Pragnęłabym dowiedzieć się: Jak pan



PROF. EDWARD WITTIG

zapatruje się na modę? jako artysta i jako mężczyzna?

— Moda? Ja cenię modę, bo są w niej dwa ważne pierwiastki.

Jeden, wieczna nowość i różnorodność, — to cieszy mnie jako człowieka, kochającego życie, zaś jako artystę, umacnia ona we mnie wiarę w rzeczy niezmienne, gdyż poprzez wszystkie pozory odmiany w modzie przebija stałe prawo harmonji, więcej powiem, — poszukiwanie harmonji. Cała ta ewolucja czyni proceder mody pokrewnym poszukiwaniom — sztuki.

*

Po tem mądrem powiedzeniu doświadczonego artysty przypomniałam sobie odpowiedź jednej z przedstawicielek sportu. Kiedy zwróciłam się do niej z zapytaniem, co myśli o modzie? — odpowiedziała mi tonem obrażonej wielkości:

— Ta dziedzina nie egzystuje dla mnie. Jestem poza tem.

Jednak wiem, że dama ta dużo czasu spędza w magazynach mód.

Zofja Stryjeńska

Trzydziesty czwarty numer mieszkania. Zastukałam dyskretnie.

Miły głos od wewnątrz.

— Proszę!

Wchodzę. Wita mnie Zofja Stryjeńska, momentalnie zachęcając, bym usiadła. Jest dekoracyjnie spowita w makaty wytwórni „Ład", na głowie ma skromny wianek z ostatnich dożynków u Mortkowicza.

Leżąc na ogromnej tachcie, pieczołowicie wycina z gazet zakochanemi palcami ostatnie recenzje o grze swojego męża. Wszystko to odbywa się na tle idealnie wyfroterowanej pracowni, gdzie jako jedyne realne umeblowanie latają pod sufitem dwa ptaszki, świeżo wypuszczone z klatki. Na oknie otwarte pudełko sardynek, kaktus i ogromny kożuch ostatniego z bożków słowiańskich, (Sochy).

Na podłodze jeden, ale za to niebywale wykwintny pantofel balowy, drugi podobno gdzieś przepadł bez wieści.

Na moje zapytanie, jaki jest właściwie stosunek świetnej artystki do mody, otrzymuję z miejsca odpowiedź:

— Moda, z powodu swej zmienności, — odpowiada mi wyjątkowo. — Uważam za rzecz nielojalną w stosunku do krawcowej wkładać drugi raz tę samą suknię. Dla mnie ideałem byłaby wypożyczalnia toalet (jak kostjumy maskaradowe), bo czyż życie nie jest maskaradą? A więc po długich poszukiwaniach znalazłam odpowiedni zakład. Mieści się na Nowolipkach, właścicielem jest p. Szyja Zimnawoda. Niestety jednak, jest to wypożyczalnia sukien ślubnych! Dziwię się, z czego ten Szyja żyje, przy tak małej aktualności ślubów. Sądzę, że niedługo zmieni typ sukien na „rozwodowe". Przecież, tylko na tem w Warszawie można zrobić majątek i cały dom rozweselić.

Wracając do jałowej rzeczywistości, wymagam, aby ubranie współczesnej ko-



ZOFJA STRYJEŃSKA

biety poprawiało jej braki organiczne.

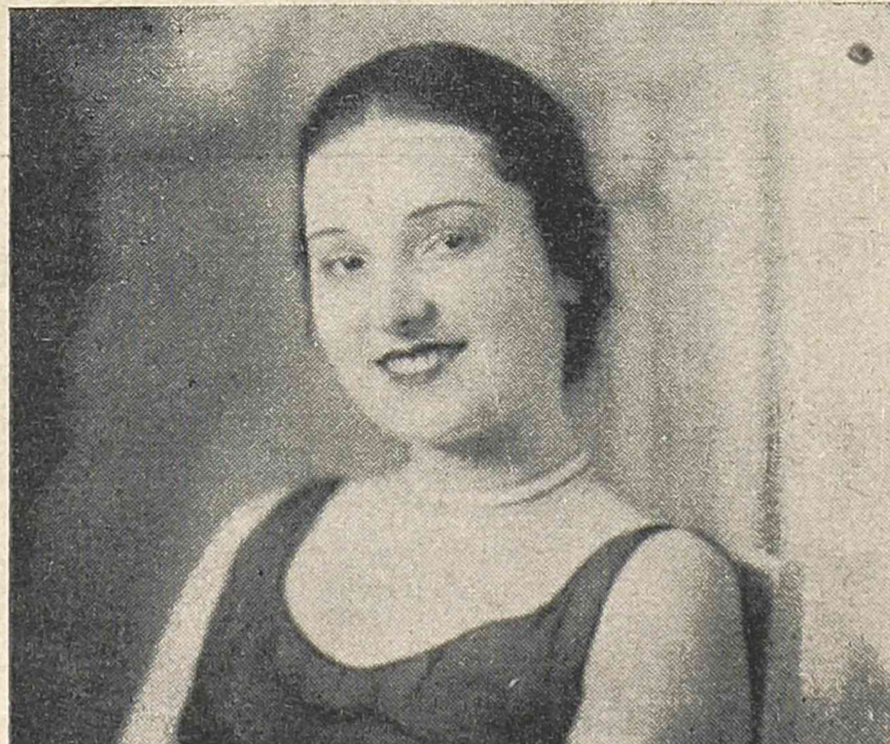
Czyli, o ile osoba odznacza się inteligencją lub talentem, dobra suknia winna zatrzeć najmniejsze tego pozory. Pozory tak bardzo odstraszające naszych panów.

A teraz zmienimy temat, zaproponowała z czarującym uśmiechem gospodyni, częstując mnie chlebem świętojańskim.

Z konkursu piękności w Paryżu: byłe rywalki „Miss Europy"



Miss Rumunja



Miss Rosja



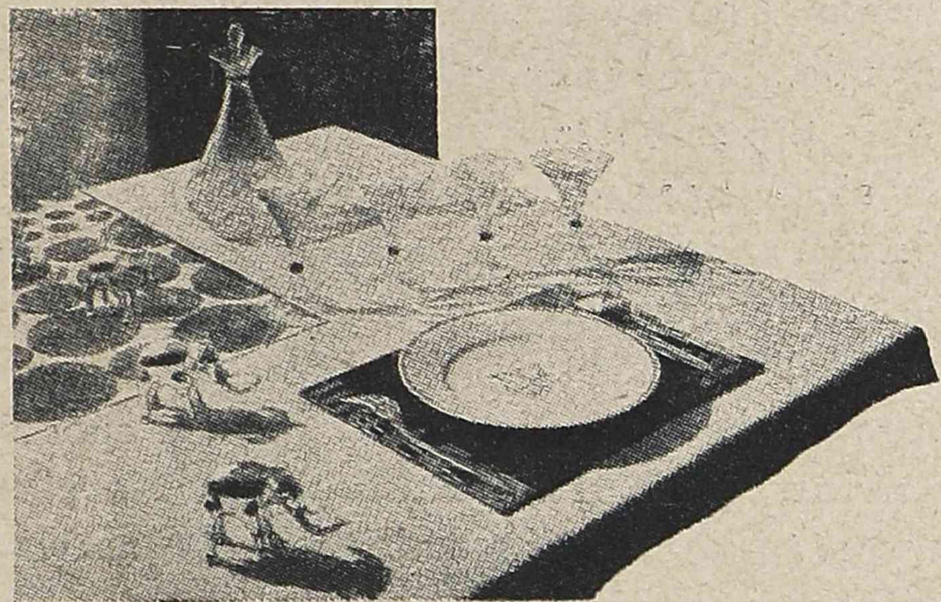
Miss Czecho-Słowacja

ŚWIAT KOBIECY

SWÓJ STÓŁ

Minęły czasy, kiedy chlubą każdej szanującej się gospodyni był adamaszkowy obrus.

„Dostałam do wyprawy tuzin adamaszkowych obrusów: co mam



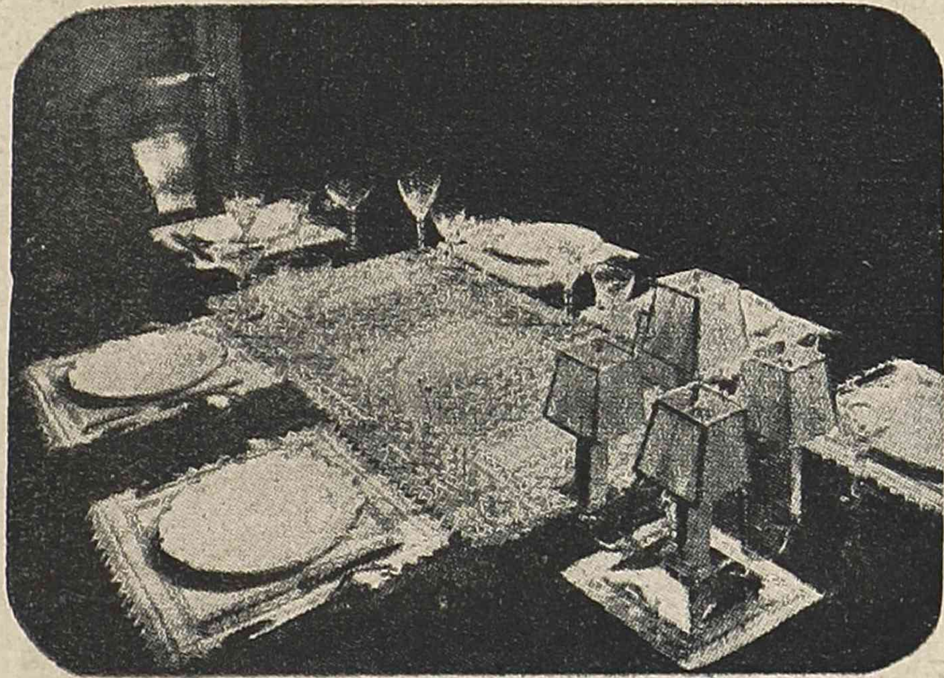
Ładne i modne nakrycie do stołu

z niemi zrobić?" skarżyła się dawniej młoda pani domu.

Dziś biały adamaszkowy obrus „pachnie" przedwojenną staroświecczyzną.

Przepisy, jak nakryć do stołu, uległy zasadniczej zmianie: stół powinien mieć pięknie wypolerowany „blat", błyszczący jak lustro. Na takim stole kładzie się ażurowe koronki — obrusek składający się przeważnie z dziur... bądź „milieu", milieu na środku stołu, a pod każdym talerzem serwetkę z takich samych koronek i, tak samo haftowaną.

Ostatnim krzykiem mody (zresz-



Tak wygląda modne nakrycie do stołu

tą krzyk ten trwa już od kilku lat zagranicą) jest bardzo oryginalne nakrywanie stołu.

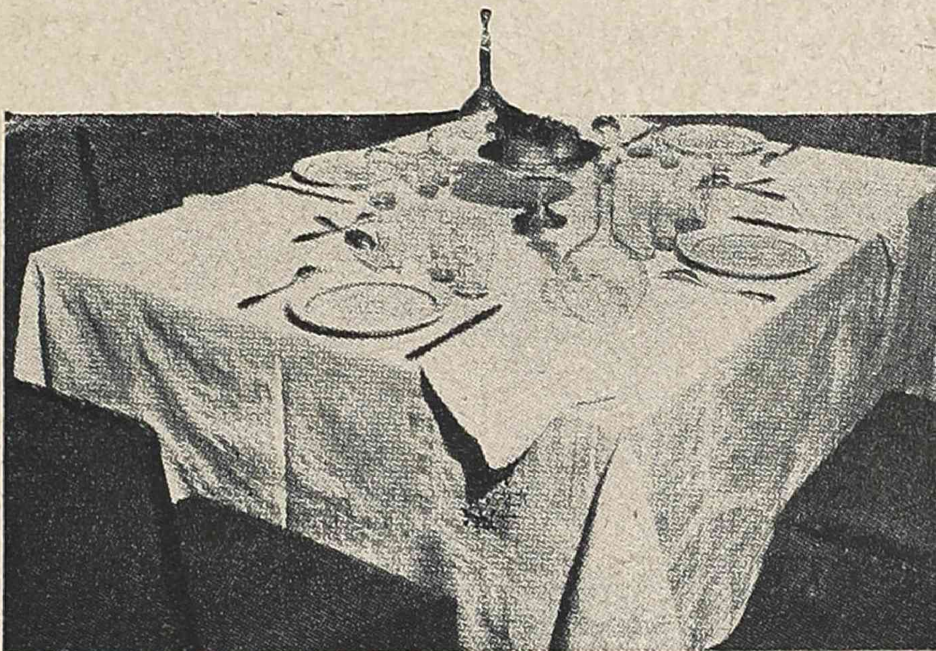
W wykwintnych pałacykach francuskich, w których pełno jest antyków, kładzie się do obiadu na stół niewielką serwetę z brokatu lub złotej koronki — serweta zajmuje środek stołu — i takie same serwetki pod talerze. Na stole stoją też srebrne, kryształowe, czy porcelanowe kandelabry (nie przerobione na elektryczność — niewolno modernizować antyków!) z woskowemi świecami. Zamiast dekoracji kwiatowej, porcelanowe figury — najmodniejsze, ptaki z starej porcelany, majoliki, czy fajansu.

Inny znów sposób nakazuje, by na lakierowanym stole umieszczać szklane płytki pod talerze, półmiski i t. p. Szkło kolorowe, o prostych kształtach, srebro gładkie.

Nie wolno przeładowywać stołu. Stawiać trzeba na nim jedynie rzeczy niezbędne, które w dodatku muszą być estetyczne — tak brzmi hasło współczesnych dekoratorów.

Stół może zdobić jedynie kwiat, figurka porcelanowa bądź owoce.

Zdetronizowany obrusek kładzie się tylko w przerwie pomiędzy jed-



Nakrycie stołu na codzień

nym robrem a drugim, na stół karciany. Kolor porcelany powinien być uzgodniony z barwą deseni na obrusie z „linon" batystu. Tutaj pani domu ma pole do wykazania smaku, zdolności do haftu (czy też zdolności jej hafciarki)...

(h)

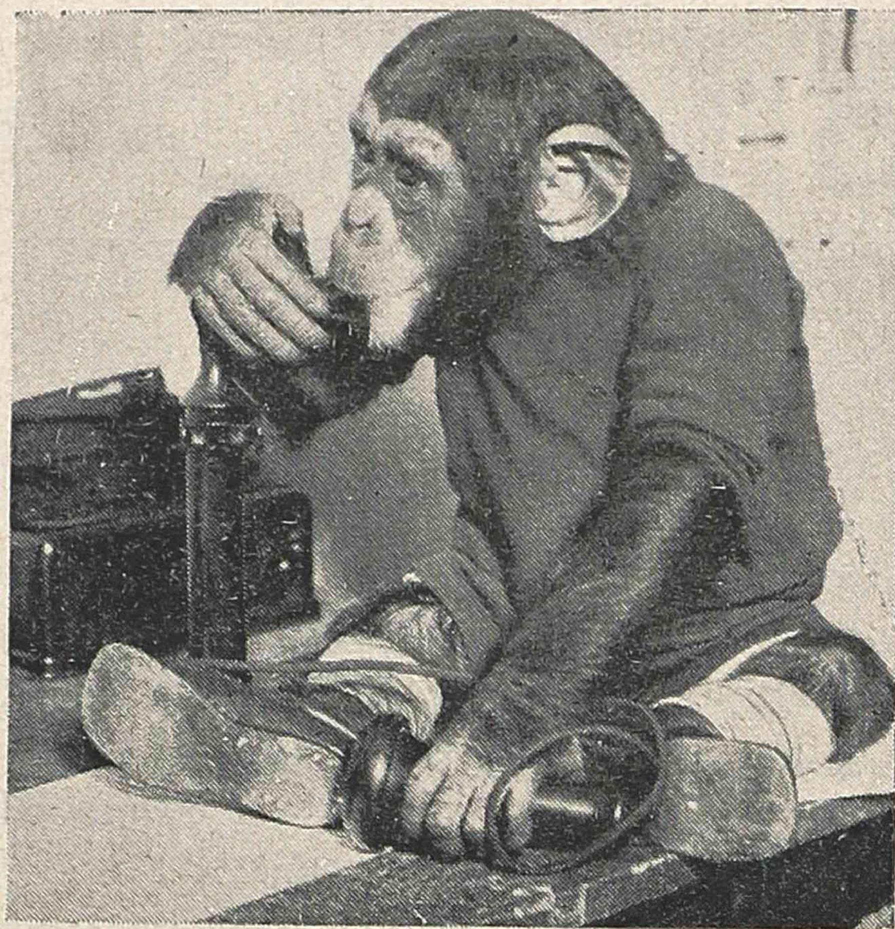
Mussolini o kobietach i małżeństwie

„Il Duce" był swego czasu krytycznym względem kobiet, sprowadzając ich rolę do „epizodu podniety i nagrody". Od chwili jednak, gdy faszyzm kobiecy stał się dlań realnym czynnikiem politycznym, zmienił zdanie. W jednym ze swych artykułów w ten sposób określa Mussolini rolę współczesnych kobiet:

„Najważniejszą rolą i najwyższem przeznaczeniem kobiety jest i pozostanie rodzina. Mało jest kobiet, które nie odczuwałyby przyrodzonego pragnienia posiadania własnej rodziny i spełnienia najwyższego obowiązku swej płci. Bojaźń przed trudami życia rodzinnego jest przeważnie niczem innem, jak tchórzostwem i egoizmem mężczyzn, którzy chcieliby uchylić się od obowiązku i odpowiedzialności. Ileż to kobiet więdnie z goryczy i samotności, nie mogąc doczekać się spełnienia swego obowiązku kobiety i matki? Mężczyznę, który uchyla się od przyjęcia na siebie odpowiedzialności i założenia rodziny, uważam za dezertera z szeregów obowiązkowych obywateli".

Przeciw welonom wdowim

W Paryżu rozwinęła się obecnie walka o noszenie żałobnych welonów wdowich. Przeciwko welonom wystąpiły zdecydowanie organizacje kobiet postępowych, wykazując, że welony są niewygodne i niepraktyczne i w dzisiejszych warunkach winny być uznane za przeżytek. W dyskusji, jaka się na ten temat rozwinęła, obok głosów oburzenia zwolenniczek tradycji nie zabrakło również twierdzenia, że dostateczną racją do utrzymania welonu jest okoliczność, iż welon — dodaje kobiecie wdzięku.



ZWIERZĘTA POSKROMIONE

Sztuka tresowania dzikich zwierząt dla celów widowiskowych należy do zamierzchłej przeszłości. Już dla człowieka pierwotnego istniało zagadnienie poskromienia dla celów praktycznych, a później rozpoczęło się popisywanie tą sztuką dla zabawy i emocji drugich.

Historja obyczajowa mówi, że gladjator Paulus popisywał się w starorzymskim cyrku tresurą kilkunastu lwów, poskramianych jedynie przy pomocy bata. Cyrk nowoczesny, który opierał się z początku niemal wyłącznie na artystycznej jeździe, wprowadza popisy z dzikiemi zwierzętami dopiero w wieku XVIII. W Anglji pierwszy George Sanger prezentował publiczności lwy łagodne, jak baranki i spełniające bez szemrania wszystkie jego rozkazy. Później słynny pisarz amerykański, Jack London, zorganizował namiętną propagandę przeciwko tresowaniu zwierząt, albowiem, według jego przekonania, zwierzęta musiały przechodzić przytem przez istne katusze.

Nic bardziej fałszywego!

Każdy, kto miał cokolwiek do czynienia z tym niebezpiecznym zawodem, wie, że dzikie zwierzęta można ujarzmiać jedynie przez rozumną opiekę i łagodne oddziaływanie. Nieprawdą jest, jakoby tresura wymagała katowania, głodzenia i oszałamiania zwierząt. Nieprawdziwą jest również bajeczka, wedle której po ukończeniu tresury lwów, tygrysów i słoni każdy osobnik może wchodzić bezpiecznie do ich klatki.

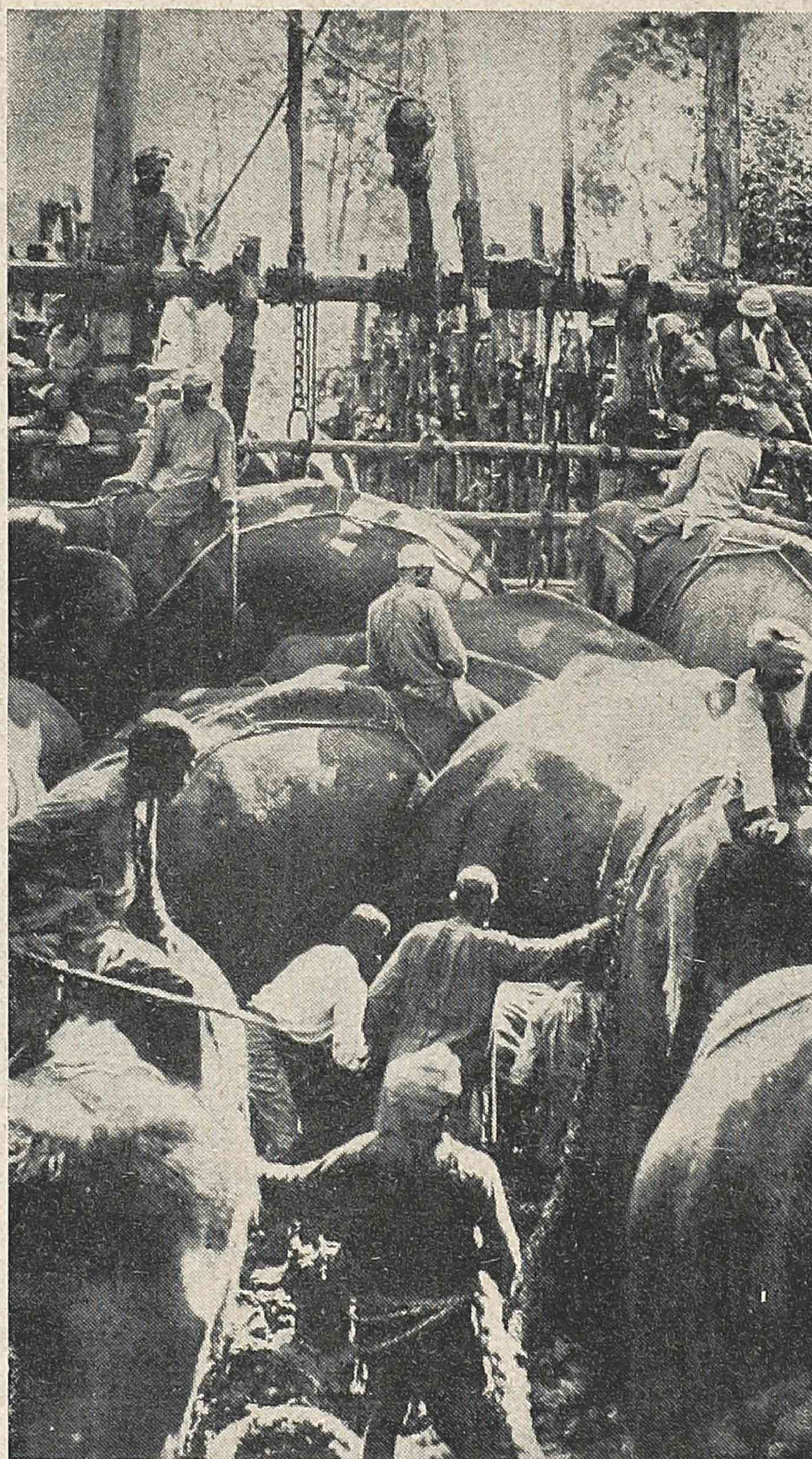
Wszyscy pogromcy noszą na swojem ciele ślady blizn straszliwych, które są jakby dotknięciem śmierci. Wszyscy patrzą nieustannie niebezpieczeństwu w oczy, a niejeden ginie rozszarpany pazurami dzikich bestyj albo umiera na zakażenie krwi, bowiem najlżejsze nawet zadraśnięcie łapą, gdzie gniją zazwyczaj resztki mięsa, bywa śmiertelne.

— Wszystko można osiągnąć — opowiada jeden z pogromców — przez zamiłowanie i cierpliwość. Dzikie zwierzęta nie są pod tym względem gorsze od kobiet...

Nowoczesna tresura doprowadziła do tego, że w pewnej restauracji paryskiej pojawił się oryginalny pan, który prowadził na łańcuchu oswojoną lwicę. Przez cały czas tej oryginalnej wizyty olbrzymia lwica zachowywała się zupełnie spokojnie. Zasiadła w fotelu i chwytała srogą paszczęką łakocie, które jej rzucano.

Być pogromcą, to znaczy posiąść sztukę przyjaźnienia się ze zwierzęciem i wychowywania go. Trzeba, aby zwierzę uznało w człowieku swojego opiekuna i pana, aby darzyło go zupełnem zaufaniem.

Charakterystycznym jest fakt, że każdy pogromca pracuje najchętniej ze zwierzętami zupełnie dzikiemi, sprowadzonemi czy to jest lew, tygrys czy słoń. Zwierzę wprost z ich ojczyzny. Wszystko jedno, urodzone w klatce zna człowieka za dobrze, zbliża się do niego za łatwo, chce się z nim bawić, a skoro tylko ukaże się pierwsza kropla krwi, nic już nie zdoła człowieka ocalić!



ZASADZKA NA SŁONIE W INDJACH

W ostatnich czasach stały się słonie znowu ulubioną atrakcją cyrkową. Co roku odbywają w Indjach na brzegach Gangesu targi na te zwierzęta. Sonepur jest centrum tego osobliwego handlu, w którym biorą udział agenci, kupcy i komisjonerzy z całego świata. Słonie indyjskie przewyższają pod względem inteligencji i wrażliwości swoich afrykańskich braci i dlatego są tak bardzo poszukiwane. Cierpliwy pogromca łatwo uczy je najrozmaitszych sztuczek. Wykształcony słoń gra na katarynce, goli swojego towarzysza i tańczy w takt muzyki.

Bardzo znany angielski pogromca William Orford opowiada o tej tresurze:

— Mechaniczne albo zupełnie brutalne środki nie dają w tym wypadku żadnego rezultatu. Trzeba np. podnieść nogę słonia, wówczas, kiedy się od niego tego żąda, albo popycha się go na stołek, kiedy chcemy go nauczyć, aby siadał na komendę. Przyczem należy powtarzać zawsze to samo słowo, które wreszcie utrwala się w pamięci zwierzęcia i łączy z żądaną czynnością. Wreszcie dochodzi się do takiego rezultatu, że skoro słoń zobaczy tylko nakryty stół i krzesło, zdradza zaraz ochotę do siadania. W ten sposób pewien młody słoń nauczył się nietylko wypróżniać butelkę, ale nawet udawać pijanego. Zdarzyło się, że jego właściciel nie otrzymał od dyrektora cyrku swojej gaży. Rozgniewany zawiesił swojemu wychowankowi tabliczkę z napisem: „Proszę o pieniądze" i wpuścił go do gabinetu dyrektorskiego, gdzie właśnie całe towarzystwo raczyło się szampanem. Nakryty stół skojarzył się w mózgu słonia z jego codziennym obowiązkiem. Zręcznie odkorkował trąbą jedną z flaszek i wychyliwszy ją, począł zataczać się przepisowo... Pomimo krzyków rozpaczliwych spełnił swoje zadanie do końca. Dopiero kiedy zjawił się pogromca i dostał pieniądze, słoń pozwolił odprowadzić się do stajni...

Pomimo niebezpieczeństw i trudów pogromcy kochają swoje zajęcie i kochają swoje zwierzęta.

Zdarzają się pomiędzy nimi nawet tacy, którzy stworzyli sobie swoistą filozofję.

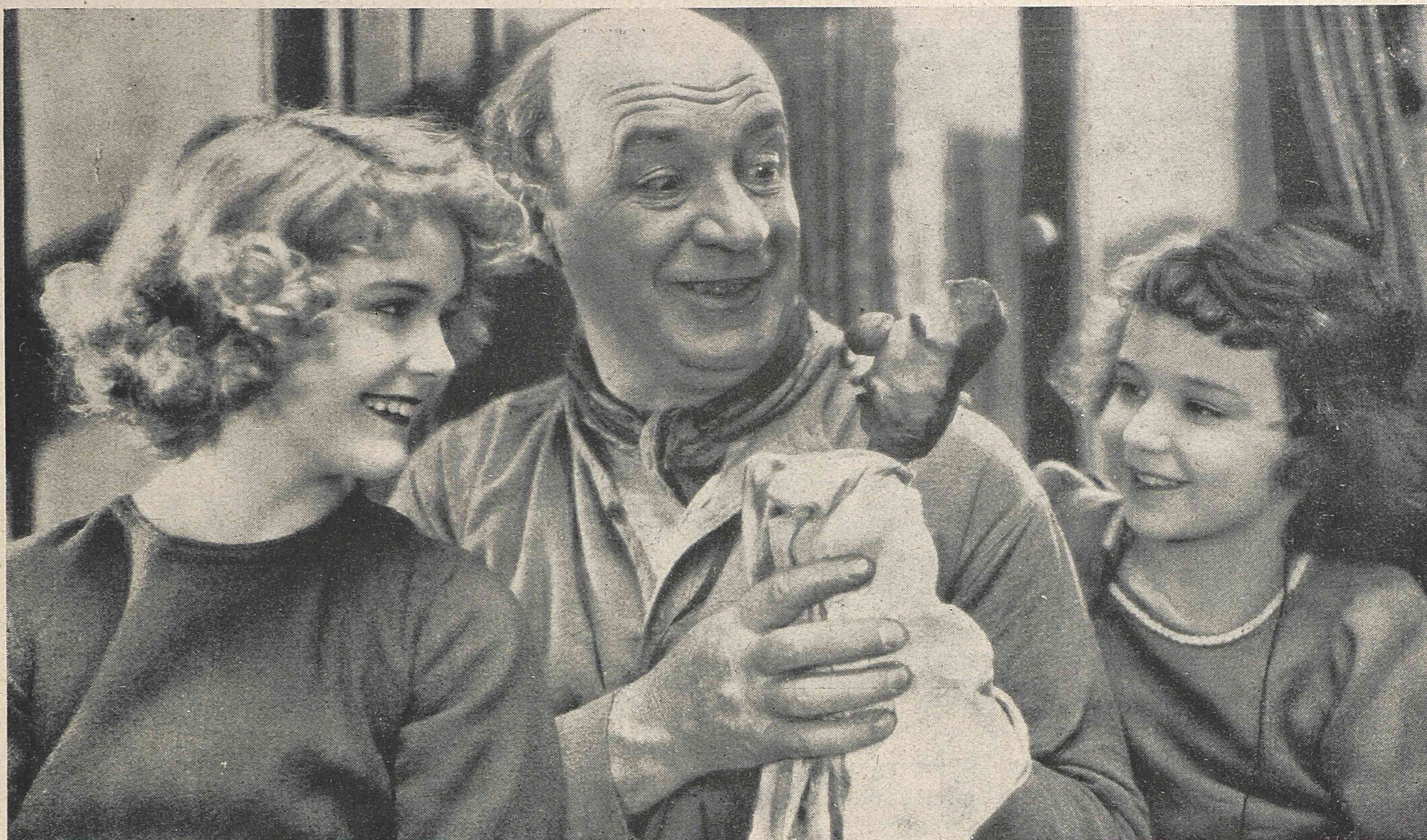
Jak np. ten, który na klatce z dzikiemi zwierzętami umieścił następujący napis:

— Ponieważ znam ludzi, wolę zwierzęta....

Es.



„Czterech djabłów", porywający film wytw. Williama Foxa, wyświetla kino „Atlantic"



Farrel MacDonald z młodocianemi partnerkami



Janet Gaynor, Nancy Drexel, Charles Morton, Barry Morton,

NOSOROŻEC Z PRZED 30.000 LAT W POLSKIEJ AKADEMJI UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE



W POKŁADACH WOSKU ZIEMNEGO W STARUNI (POD STANISŁAWOWEM) NATRAFIONO NA OKAZ NOSOROŻCA (RINOCEROS ANTIQUITATIS) SAMICĘ I WYDOBYTO GO W STANIE LEKKO USZKODZONYM NA POWIERZCHNIĘ. MOMENT PO OTWORZENIU SKKZYNI W KRAKOWIE

RADJO

Na polskich falach eteru

Niedziela, 23.II. przynosi znaczne urozmaicenie w programach, mogące zadowolić amatorów wszelkich odcieni muzyki.

Tak więc poranek symfoniczny z Filharmonji Warszawskiej o godz. 12.10 poświęcony jest muzyce poważnej. Program obejmuje twórczość Griega. Jako solistka wystąpi znana pianistka prof. Zofja Rabcewiczowa, która wykona efektowny koncert fortepianowy a-moll.

O godz. 16.00 znany popularyzator prof. Burdecki wygłosi interesujący feljeton p. t. „O podbojach mózgu". Wieczorem — dwa koncerty do wyboru: w Warszawie o godz. 20.30 — „Lutnia" pod dyrekcją Piotra Makuszyńskiego ze współudziałem artysty opery Maurycego Janowskiego, w Krakowie zaś o godz. 20.15 koncert. Program obejmuje utwory Schumanna (fantazja), Chopina oraz cykl „Sur la mèr" Vincent d'Indy'ego.

O godz. 23.00 Warszawa nadaje wesoły radjokabaret z płyt.

W poniedziałek, 24.II. — melodyjna operetka Ernesta Steffana „Agri", oparta na motywach wschodnich.

Zwolennicy i wielbiciele Hanki Ordonówny będą mieli okazję usłyszenia piosenek w jej charakterystycznej interpretacji we wtorek o godz. 17.00. Wieczorem — o godz. 19.00 transmisja opery z Katowic.

Dla zwolenników muzyki poważnej nadany zostanie we środę, o godz. 20.30 koncert kameralny w wykonaniu trio Kmita.

W czwartek, 27.II. Poznań nadaje o godz. 17.45 ciekawy koncert na dwa fortepiany (transmitowany również przez Warszawę) w wykonaniu prof. Zygmunta Lisickiego i prof. Franciszka Łukasiewicza. Program obejmuje sonatę Mozarta, andante z warjacjami Schumanna, oraz suitę Rachmaninowa.

W piątek, 28.II. po południu o godz. 17.45 — koncert orkiestry banjolistów. Wieczorem w czasie koncertu symfonicznego z Filharmonji usłyszymy znanego pianistę prof. J. Lalewicza.

Sobota, 1.III. poświęcona jest muzyce lekkiej. Mamy tu o godz. 20.30 audycję muzyki operetkowej w wykonaniu Lucy Messal, która odśpiewa szereg aryj ze znanych i lubianych operetek Straussa, Kalmana, Falla i Lehara.

K. Wieniawa

Przegląd płyt gramofonowych

Polska literatura muzyczna poza Chopinem, Paderewskim i Wieniawskim jest dla obcych prawie nieznana; wyrazem tego są zagraniczne programy radjowe i katalogi płyt gramofonowych. Czasami spotkać można w programach wiedeńskich utwory Szymanowskiego, ale to dosyć rzadko.

Z uznaniem podkreślić należy fakt, że znakomity nasz skrzypek Bronisław Huberman nagrał na płytach Columbia z nadzwyczajną brawurą Mazurek Zarzyckiego, dorzucając w ten sposób piękny kwiat do światowej literatury skrzypcowej. Na wymienienie zasługuje również koncert skrzypcowy Czajkowskiego w tem samem wykonaniu.

Do nadzwyczaj udanych zdjęć należą nagrania pianisty Roberta Casadesus, znanego dobrze Warszawie; zwłaszcza imponująco wypadła Ballada g-moll Chopina i Etiudy symfoniczne Schumanna.

Artur Rubinstein, który niedawno koncertował w Warszawie, wykonał dla marki H. M. V. Barkarolę Fis-dur Chopina, jednakże interpretacja ta nasuwa pewne zastrzeżenia; natomiast wspaniale wypadła Navarra i Sevilla Albeniza. Rubinstein, jeśli chodzi o muzykę hiszpańską, nie ma dziś sobie równego wykonawcy.

M. Jaworski

Nauka, jako broń...

Nauka, jak broń militarna, oddawna cieszy się specjalną opieką sztabów generalnych. Wynalazczość na tem polu jest subsydjowana, otaczana tajemnicą, wyróżniana. Jest jednak duża, olbrzymia dziedzina życia, gdzie współzawodnictwo naukowo-kulturalne, przemysłowe, handlowe, stawia jakiś naród na czoło poczynań ludzkich, przyczynia się do wzmożenia powagi i wpływu politycznego. Klasycznym przykładem mogą posłużyć uniwersytety niemieckie przed wojną; ich metody tak pedagogiczne, jak i badawcze ściągały z całego świata ludzi, pragnących poświęcić się studjom wyższym. Dopiero wojna otamowała ten ruch naukowo-proniemiecki. Teraz katedry niemieckie walczą o odzyskanie dawnych wpływów. Rząd jest hojny na te cele: wie, iż jest to najskuteczniejszy sposób propagandy, rozumie wagę wartości nauki dla rozwoju sił swego społeczeństwa.

U nas w Polsce, choć mamy od kilku lat dziesięć wyższych zakładów naukowych, wszechnice nasze nie zaznaczają swego wpływu na kształtowanie się życia. Uniwersytet warszawski prawie że nie daje znać o sobie. Inne uniwersytety zaznaczają swoją egzystencję od czasu do czasu jakiemś jaskrawem wystąpieniem młodzieży. Nauka niebardzo rozwija się na naszych fakultetach. Dobrze, że choć kasa im. Mianowskiego wydaje masywny rocznik pt. „Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój". Perjodyk ten przynosi często ciekawe, często i rozwlekłe elaboraty na temat usprawnienia, ożywienia, pobudzenia twórczości na polu wiedzy. W jedenastym roczniku aż dwuch uczonych, prof. Tadeusz Kotarbiński i Franciszek Bujak, pragnie dotrzeć do istoty zagadnienia, czem są zdolności, cechujące badacza, różnice między badaczem i działaczem.

Nie można zaprzeczyć: obie te rozprawki są ciekawe, mogą posłużyć za lustro dla ludzi o niezdecydowanej świadomości, przechylić ich wolę w pożądanym kierunku. Czy jednak zdołają obudzić szersze zainteresowania dla tych kardynalnych spraw i uświadomić wagę nauki, jako broni w walce o wartości kulturalne?

Wydaje się to wątpliwe. Młodzież nasza szuka przedewszystkiem wiadomości praktycznych. Cel studjów ma wyłącznie jeden: zarobek, posadę... Przypuszczać należy, że i zdolności głębszych musi być niewiele. Gdyby były, zdecydowałyby bez względu na dochodowość, na wybór wiedzy i tylko wiedzy! Jest to przecież powszechnie wiadome, pasja naukowa, artystyczna, czy jakakolwiek, nie daje się sprowadzić z drogi przeznaczenia. Walczy o swoją rację bytu i przeważnie zwycięża!

Roczniki „Nauki polskiej" uświadamiają w tym względzie. Czy jednak mogą przynieść pomoc młodym badaczom i w życiowem znaczeniu? Walka o stypendja, o dotacje, subsydja powinnaby zająć trochę więcej miejsca. Może nawet warto byłoby ochudzić cokolwiek grube tomy „Nauki", a wzamian dać możność wyjazdu za granicę lub spokojnej pracy w kraju kilku młodym uczonym. Będziemy mieli trochę mniej rozpraw o nauce, ale za to może otrzymamy naukę bez komentarzy.

Dr. Z. M.

Na czarnej liście

W paryskiej *Bibliothèque Nationale* wielu znakomitych pisarzy francuskich nie otrzymało pomieszczenia, jako że według rozumienia dawniejszych, lub obecnych władz bibliotecznych nie są tego godni. W r. 1919 trzej dziarscy autorowie francuscy, śród których jeden pochodzenia polskiego, mianowicie Guillaume Apollinaire, Fernand Fleuret i Louis Perceau, ogłosili studjum pt. *l'Enfer de la Bibliothèque Nationale*, a to po to, aby wykazać haniebny ostracyzm tej kulturalnej instytucji. Z wielkich pisarzów obcych cenzura biblioteczna wygnała po za swoje mury Aretina i Bokacjusza. Następnie daremnie szukać tu książek znakomitego Bayle'a i popularnego Bérangera, piosenkarza Bérangera. Przytaczamy tylko nazwiska autorów bardziej znanych i poza Francją, więc Crebillon'a syna, Kamila Desmoulins (rewolucjonistę, ściętego przez rewolucję), Saint Juste'a (autora poematu frywolnego pt. *l'Organ* (tak, ten straszliwy człowiek Wielkiej Rewolucji Francuskiej, przyjaciel Robespierre'a, zaczynał od łobuzerskiego poemaciku), markiza de Sade. *Bibliothèque Nationale* posiada wprawdzie rękopis markiza de Sade, ale książek jego nie przechowuje. A przecież istnieje we Francji „Towarzystwo przyjaciół markiza de Sade". Pozatem nie znajdziecie tu książek genjalnego Diderota, Teofila Gautier, Glatigny, Merimée'go, Musseta, Restif de la Bretonne, George Sand, Sedaine'a, Richepin'a, Tailhade'a, Tardieu!

Najbezstronniejszy człowiek przyzna, że są to luki poważne i niewytłomaczalne.

a. b. c.

Nowe pismo polskie w Brazylji

W Rio Janeiro zaczął wychodzić „Przegląd Polsko - Brazylijski". Wydawcą jest znany księgarz warszawski, p. Ludwik Fiszer, który od roku z górą osiedlił się w Brazylji; redaktorem — p. Roman Poznański, prawnik, również rodem z Warszawy. Pismo, pod względem wydawniczym bardzo staranne, ma charakter polityczno - gospodarczy. Prócz krótkiego, wstępnego artykuliku jest redagowane w całości w języku polskim i przeważnie poświęcone działalności wybitnych mężów stanu brazylijskich. Natomiast prawie że wcale nie przynosi wiadomości o życiu kolonistów polskich.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Halinie w M.: Włosy rozjaśni pani płynem *Hella.* Wody utlenionej używać nie można, gdyż daje brzydki płowy kolor, i niszczy włosy, które póżniej łamią się i kruszą. Płyn *Hella* daje bardzo ładny złoto-blond kolor i nie niszczy włosów. Co zaś do przyciemnienia brwi na trwały, niezmywający się ciemny kolor, to polecam *Excelsior do brwi,* którym Pani może przyciemnić brwi do żądanego koloru, gdyż po 1 użyciu, ciemnieją, po 2-ch są zupełnie ciemne a po 3—4-ch użyciach zupełnie czarne.

Anekdotce: Nie radzę Pani używać nieznanych kremów, a szczególniej tłustych, gdyż zatykają pory skóry i sprzyjają tworzeniu się wągrów i tak zwanej tłustej cery. Racjonalnie będzie pani pielęgnować twarz, myjąc na noc *Otrąbkami Abaridowemi* i dobrze ciepłą wodą, a po wytarciu wetrzeć cokolwiek *kremu Abarid,* który wciera się do sucha, a następnie przypudrować *pudrem Abarid.* Zaznaczam przytem, że przystałem użyciu *kremu Abaridowego,* zachowa Pani zawsze świeżą młodą cerę i zapobiegnie tworzeniu się zmarszczek.

Siwej: Jako tanią i dobrą farbę do włosów polecam Pani roślinną *farbę D-ra Jima.* Jeżeli włosy były blond, to można doprowadzić je do pierwotnego koloru, stosując przywracający kolor *Excelsior do włosów,* zaznaczam, że nadaje on się tylko do włosów blond. To samo Pani będzie łaskawą polecić i małżonkowi do wąsów i brody.

Płyn Mimosa działa nadzwyczajnie i używając go do nacierania twarzy 2—3 razy dziennie, pozbędzie się Pani pryszczy i łuszczenia się skóry. Jednocześnie wybiela cerę. Jeżeli Pani nie może myć się *Otrąbkami Abaridowemi,* ze względu na czas, to polecam do twarzy *Mydło Abaridowe,* jeżeli cera bardzo tłusta, to *alkaliczne mydło Pureol.*

M-me Ercedès.

Z KALOTECHNIKI

Pani Tosi. Piegi usunie bezpowrotnie fr. płyn „Petunja".

Pani Stelli. Twarz udelikatni fr. krem „Salome". Smarować na noc i na dzień poczem przypudrować pudrem leczniczym „Select". Myć twarz w wodzie letniej mydłem lanolinowym „Select".

Pani Z. F. Wągry, połyskliwą cerę usunie płyn „Alma". Twarz należy myć w wodzie ciepłej mydłem „Sulfonowem". Na noc posmarować kremem „Ixora". Należy unikać pudrów franc. (zawierających bizmut i ołów) oraz szkodliwej tandety krajowej.

Majorowi K. Suwałki. Chcąc uniknąć wyłysienia należy nadesłać włosy do analizy: Kalotechnika Marszałk. 116.

Dr. Z. K.

Trzy tysiące nowych słów polskich

Przez lat czternaście, to jest, od pierwszego wydania „Ilustrowanego słownika języka polskiego", przybyło mowie naszej trzy tysiące nowych słów. Jest to zjawisko, nad którem musi zastanowić się nietylko lingwista. Obecnie wydany w nowem opracowaniu ten słownik zawiera 75 tysięcy wyrazów. Wnioskować by należało, że mowa nasza jest stosunkowo bardzo bogata. Istnieje przecież doświadczalnie stwierdzony fakt, iż przeciętny, prosty, niewykształcony człowiek zużywa od 300 — 500 wyrazów. Posługując się niemi, przechodzi przez życie. Słownik inteligenta jest o wiele bogatszy, ale niema człowieka, by posiadał w pogotowiu aż 75 tysięcy wyrazów. Niezbędny jest więc podręcznik: zarówno lekarz, inżynier, prawnik, jak i literat muszą posługiwać się słownikiem, o ile chcą ściśle pojąć lub uzmysłowić myśl cudzą, jak i swoją.

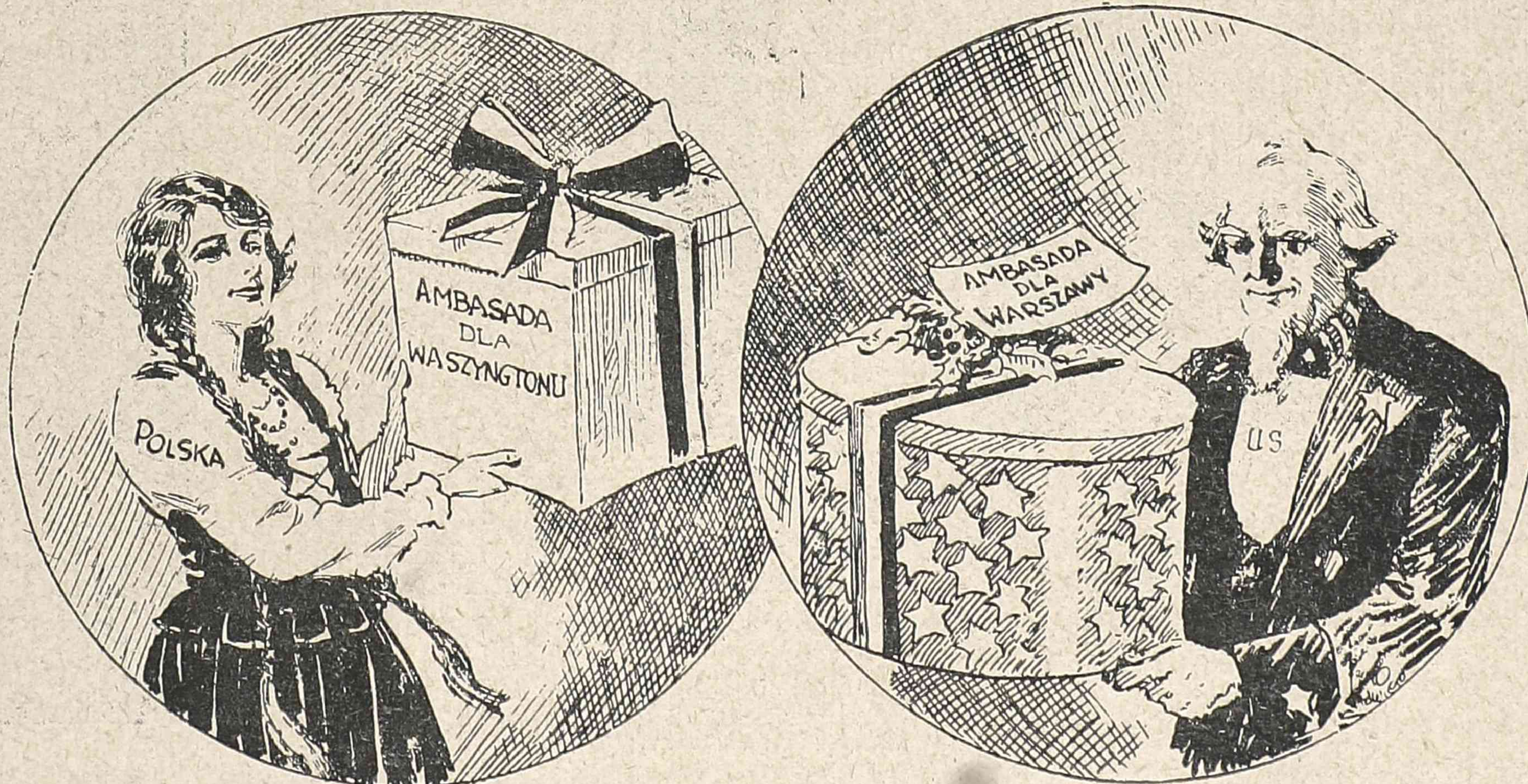
„Słownik ilustrowany języka polskiego" M. Arcta ukazał się właśnie w trzeciem wydaniu. Współpracowali nad jego redakcją tacy świetni poloniści, jak prof. Szober, Kryński, Niedźwiedzki. Słownictwem technicznem opiekowali się prof. Stadtmüller i Żerański. Szata wydawnicza, skład, papier, układ są bez zarzutu.

Słownik ten dla szkół, biur, urzędów jest niezbędną pomocą. Mamy bowiem w języku naszym wiele kwestji, które bez doradcy, znawcy nie mogą być należycie wyjaśnione.

„Literarni rozhledy"

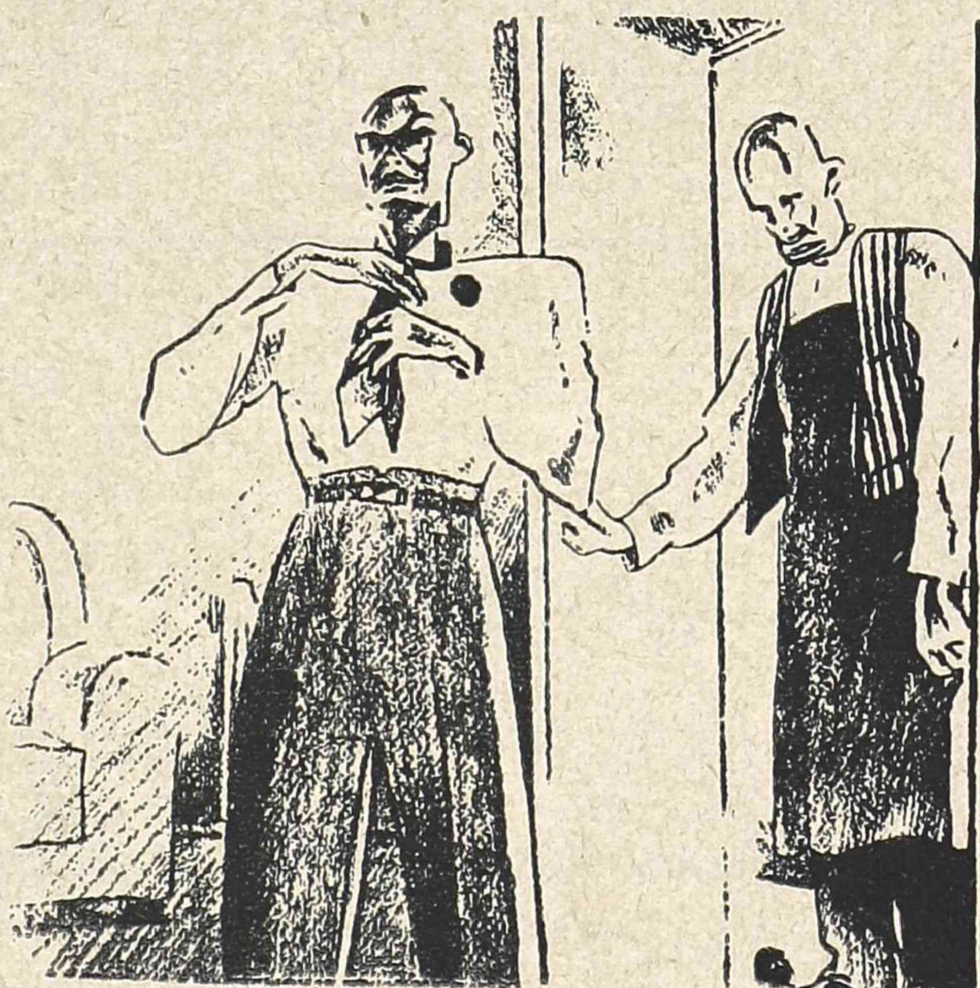
Wydawcy i księgarze czescy wydają od lat czternastu interesujący miesięcznik bibljograficzno - literacki p. t. „Literarni rozhledy". Składa się on z dwóch części, które zręcznie się wiążą: literackiej i ogłoszeniowej. Jest to wszechstronny przegląd produkcji literackiej czeskiej i tłomaczonej na język czeski. Pismo to jest ciekawe tak dla przeciętnego czytelnika, jak i fachowca literata czy księgarza. W pierwszym zeszycie bieżącego roku znajdujemy wiersz F. X. Saldy, J. Volfa artykuł „o rozwoju księgarstwa w Czechach", J. Hory „Czeska liryka po Wielkiej Wojnie", Bogumiła Vydry „Literatura czeska w Polsce r. 1929", B. Mathesiusa „Nowa literatura rosyjska" oraz przyczynki historyczne, wyjątki z pism, kronikę, no i... ogłoszenia, będące dokumentem ruchu wydawniczego. W specjalnej rubryce p. t. „Co dał miesiąc" redakcja zamieszcza ścisły przegląd bibljograficzny.

POLSKI HUMOR W AMERYCE



WYMIANA PREZENTÓW GWIAZKOWYCH
(„Dziennik Chicagoski")

HUMOR ZAGRANICZNY



GOŚĆ

— Jaśnie panie, przyszedł jeden pan i chce się widzieć z jaśnie panem.

— Wprowadź go do salonu i poproś, żeby zajął miejsce.

— Jaśnie panie, on sam już wszedł do salonu i zajął właśnie wszystkie meble.

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski* — Druk. Galewski i Dau, Warszawa